WIENIEC

PISMO DODATKOWE

DO

GAZETY WARSZAWSKIEJ

POŚWIĘCONE LITERATURZE

Różnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobie
Tych wonią serca pieszczę, tych się barwą zdobię.

(Za pozwoleniem cenzury Rządowej)

TOM IV.

MIESIĄC LIPIEC

WARSZAWA

183[illegible]

(*Za pozwoleniem cenzury Rządowéj*)

NOC OKROPNA.

(Zdarzenie prawdziwe w Augustowskiém.)

Było to w zimie; zaledwie upłynęła połowa czasu który mieliśmy przepędzić w zamku baronowéj B..., kiedy otrzymaliśmy smutną wiadomość że ojciec nasz nagle zasłabł.

Pomimo prośb baronowéj zasmuconéj tak nagłym odjazdem naszym, i smutku mojéj siostry

Anny, któréj narzeczonym był syn baronowéj, postanowiliśmy wyjechać natychmiast i na całą noc, tém bardzéj że śnieg ustał i księżyc pogodniéj świecił; stary strzelec naszego ojca, był naszym woźnicą.

Okryci futrami i opatrzeni w żywność, siedliśmy w nasze sanki, w których Leon—tak się nazywał syn pani B.... chętnie byłby zajął miejsce, gdyby go miłość matki nie wstrzymywała.

Przed nocą dojechaliśmy do wielkiego lasu, który nas oddzielał od rodzicielskiego domu, i który łączy się z niezmierzonemi puszczami Litwy. Droga którą jechaliśmy była tak szeroką, że księżyc mógł przedzierać się przez gałęzie i oświecać naszą drogę, ale mnóstwo śniegu i lodowate wzgórza utrudniały jazdę, tak że nasze konie znużone nie mogły pospieszać tak jakbyśmy chcieli.

Głębokie milczenie panowało około nas, przerywane tylko kłusem koni i chrapaniem pokojowéj mojéj siostry; myśli moje przeniosły mię do łoża chorego ojca, bo nie mogłem utaić przed sobą że musiał być w wielkiém niebezpieczeństwie kiedy tak nagle po nas przysłano.

Anna z swojéj strony nie czuła się skłonną do

zerwania milczenia. Serce jéj podzielone było między dwoma uczuciami bo coraz bardziéj zbliżaliśmy się do przedmiotu jéj dziecinnéj miłości, a oddalaliśmy się od tego do którego tkliwe uczucie pociągało ją.

Już była północ, nic szczególnego nie przerwało naszéj podróży; wtém nagle konie zaczęły okazywać niespokojność; silnie oddychały i zaczęły prędzéj bieżyć, nie zważając na wołanie woźnicy. Były to konie któremi jeździliśmy już parę lat i tylko coś nadzwyczajnego mogło zwykłą ich spokojność przerwać, strzygły uszami, oglądały się ciągle i zdawało się że jakaś niewidzialna siła popędza je do biegu.

Biegły coraz chyżéj, i nakoniec Nosko, tak się nazywał nasz stary woźnica, ujrzał się zmuszonym dać im małą nauczkę biczem, któréj wprawdzie usłuchały, jednakże z wielkim oporem.

Anna zbyt była sobą zajętą, i dla tego nie zważała wcale na konie, ale ja znając ich naturę, byłem bardzo zmięszany oznakami ich trwogi.

Wtém nagle stary Nosko zdawało się że powziął szczególną myśl; — oglądał się prawie za każdym krokiem, wytężał nadzwyczajnie słuch, i nareszcie zwolnił cugle, tak że konie oddane swemu instynktowi puściły się pełnym galopem.

Ponieważ siedziałem od przodu, odwróciłem głowę tak iż usta moje dotykały ucha woźnicy.

— Co to znaczy, Nosko? zapytałem go tak cicho, że Anna nie mogła słyszéć; zdajesz się być strwożonym, i konie lękają się, nie mogę pojąć dla czego.

Stary zamyślił się przez chwilę, potém odpowiedział równie cicho: Obawiam się, że wilki zwietrzyły nasz ślad. Zimno i głód pędzą ich za nami, i zgubieni jesteśmy, jeśli nas szybkość koni nie ocali.

Widziałem śmierć pod różnemi postaciami, ale ani wrzawa bitwy, ani mordercze baterje, nie sprawiły mi nigdy takiego przestrachu, jak te wyrazy. Pierwszą moją myślą była Anna, widziałem już jéj delikatne piękne członki szarpane przez dzikie potwory. Nieraz słyszałem opowiadanie z jaką szybkością i wytrwałością

ścigają wilki swoję zdobycz. Jeżeli nasze konie wytrzymają, będziemy ocaleni, ale przeczuwałem już że siły ich prędko zostaną wyczerpane, a wilki rozszarpią nas.

Miałem z sobą kordelas, fuzję i dwa pistolety; ale mój zapas prochu i ołowiu był bardzo szczupły i zaledwie wystarczał do ubicia kilku potworów, które zwykle gromadami po sto i więcéj przedsiębiorą nocne napaści.

Tymczasem stary Nosko nieustannie poganiał konie, chociaż to było niepotrzebném, bo naturalny instynkt tych zwierząt lepiéj dał im poznać niebezpieczeństwo niż nam samym.

Ja ciągle patrzyłem na drogę za nami, usiłując wpośród ciszy nocnéj usłyszéć jakikolwiek szmer któryby mógł nam dać okropną pewność naszego losu. Nosko miał wzrok bystrzejszy, i ostrzejszy słuch niż ja, i nagle rzekł do mnie: Oto idą, idą! Czy nie słyszysz pan ich wycia i chrapania! ta czarna plama, tam, która się za nami porusza, to jest gromada przynajmniéj stu wilków.

W téj chwili rozpoznałem to co bystry wzrok starego woźnicy pierwéj rozróżnił. Okropna ściśniona gromada w przerażający sposób po-

suwała się naprzód, i zbliżała się coraz i coraz bardziéj; zdawała się nie biedz ale lecieć po śniegu, zaledwie bieg ich można było ścigać oczyma, a tymczasem były już tak blisko że groziły dogonieniem naszych koni, których siły nakoniec osłabły.

Dzikie okropne głosy przedzierały powietrze; Anna nie wiedziała dotychczas nic o niebezpieczeństwie, to co się w około niéj działo, nie mogło ocucić ją z jéj zadumnia; marzyła o ojcu i kochanku. Ale dłużéj nie mogłem zostawić ją w niewiadomości naszego położenia bo już rozróżniałem osobne gromadki wściekłych potworów, niektóre z nich wybiegły naprzód przed gromadą, zbliżały się już na odległość strzału, podniosłem strzelbę i wymierzyłem do największego z przywodców gromady.

— Usuń się cokolwiek w prawą, zawołałem, a Anna podniosła głowę jakby się ze snu obudziła. Patrzyła na mnie jakby chciała mię zapytać, ale wyczytała w mojém spojrzeniu że nie było czasu do zapytań i odpowiedzi, i uchyliła głowę jak żądałem. Strzeliłem; kula trafiła największego wilka w głowę; upadł.

Huk obudził pokojową Anny, zaczęła przeraźliwie krzyczéć, w mniemaniu, że nas zbójce napadli.

— To tylko wilki! zawołał Nosko z przerażającą krwią zimną, szarpią one okropnie, kogo dostaną w swe pazury. — Jednego panicz ubił, ale stu jeszcze goni za nami, aż nareszcie.. zatrzymał się, jakby nie chciał odkrywać nam całéj okropności naszego położenia.

Ożywione strzałem, konie nasze pobiegły z nowemi siłami, a wilki zatrzymały się przy zabitym towarzyszu.

— To ich nie długo zatrzyma, mruknął Nosko, znam ich, wkrótce będą znowu za nami, a konie nasze nie długo wytrzymają.

Teraz miałem sposobność dziwienia się silnéj duszy Anny; była ona zajętą przywróceniem do zmysłów trwożnéj pokojowéj, pocieszała ją, starała się natchnąć ją męztwem i napominała ją aby ufność położyła w Tym którego wola uwolniła Daniela z paszczy lwów zgłodniałych. Padła na kolana, pokojowa poszła za jéj przykładem, ale ta ostatnia nie miała siły

zebrać myśli do modlitwy, wydawała tylko okrzyki trwogi i rozpaczy, i przeklinała nieszczęśliwą podróż. Przeciwnie, piękne, księżycem oświecone oblicze Anny, błyszczało jakby otoczone glorją błogosławionych, z złożonemi rękami patrzyła w niebo, i modliła się z cicha z zupełną spokojnością. Widok jéj obudził moję odwagę i natchnął mię nową nadzieją. Nabiłem broń, i trzymałem ją w pogotowiu. Konie czyniły co mogły, aby ujść krwawéj pogoni, ale w téj chwili usłyszeliśmy znowu przerażające wycie gromady, i znowu ujrzałem kilku którzy przegonili innych i dopędzali nas.

Drugi strzał powalił najbliższego, i spodziewałem się że znowu zatrzymają się, i że korzystając z téj zwłoki, będziemy mogli dosięgnąć czystego pola albo jakiego bezpiecznego schronienia. Ale niestety, jakże się omyliłem! Tym razem wilki zatrzymały się tylko przez chwilę aby pozrzéć zabitego towarzysza, i zaledwie miałem czas nabić fuzję kiedy znowu byli za nami.

To nic nie pomoże, szepnął mi Nosko, konie nie długo upadną, a wtedy jesteśmy zgubieni.

Istotnie widać już było że siły ich ustawały, oddech ich był krótki a bieg niepewny, czyniły wszystko co mogły, ponieważ wiedziały że tylko największy pośpiech może je ocalić, ale ich siły coraz bardziéj znikały. Często już to ten to ów potknął się albo upadł i tylko rozpaczném wysileniem podnosił się i biegł daléj. Znajdowaliśmy się w okropném położeniu; drżałem nie o moje ale o Anny życie. Jeszcze kilku wilków ubiłem, ale nic nie mogło ich wstrzymać w biegu, byli już bardzo blisko za nami, widziałem już ich krwawe paszcze, okropne zęby, długie wywieszone ozory i ogniem buchające oczy.

A jakie mnóstwo, jaka przerażająca tłuszcza!. prochu już było nie wiele, a nie miałem innéj broni do obrony jak dwa pistolety nabite, kordelas i kolbę mojéj flinty, Nosko wiedział o tém.

— Jedna nam jeszcze nadzieja pozostaje, rzekł on, przypominam sobie że jadąc z domu uważałem tu niedaleko chatkę opuszczoną, w któréj czasem strzelcy nocują, jeśli zdołamy aż tam dopędzić, to znajdziemy ratunek, inaczéj wilki rozszarpią nas niezawodnie.

— Panie, dodał drżącym głosem, gdyby do tego przyjść miało, wtedy— wszak pan masz jeszcze dwa nabite pistolety, — ach! wtedy bądź litościwym i pozwól dobréj pannie prędko i lekko umrzéć, żeby nie cierpiała okropnie wpadłszy żywo w zęby żarłocznych wilków.

Z przerażeniem spojrzałem na starego, łza spływała po jego zoraném licu i skinął głową potwierdzając okropną myśl słów swoich. Nigdy nie zapomnę téj chwili. Lodowate zimno przebiegło po mojém ciele, aż do szpiku kości, spojrzałem na piękną, anielską postać mojéj siostry i z rozpaczą wzniosłem oczy ku niebu; zdawało mi się że musi z góry nadejść pomoc dla téj czystéj pobożnéj istoty, która w szczeréj ufności w przedwiecznego, zapomniała otaczających ją niebezpieczeństw.

Wtém nagle ujrzeliśmy z obu stron zbliżających się chciwych krwi wrogów, i widocznie było że przypatrują się pilnie sile znajdującéj się w sankach nim na nią uderzą.

W téj okropnéj chwili zwątpiłem prawie o Opatrzności, w lewéj ręce trzymałem pistolet i niepewném okiem upatrywałam na głowie Anny miejsca gdzie śmierć mogłaby najpewniéj

i najprędzéj uderzyć. Nie byłem już człowiekiem, wyobrażałem sobie że jestem krwawym potworem puszczy, pragnącym wydrzéć tę zdobycz moim towarzyszom, prawą ręką mimowolnie schwyciłem kordelas, krwawa mgła zasłoniła mi oczy, a jednak widziałem Annę która się modliła i żarłoczne wilki, i okropną snieżystą przestrzeń lasu.

W téj chwili jeden z wilków najbliższy sanek chciał silnym skokiem dostać się do nich, ale uderzony kordelasem upadł.

Anna zemdlała obok pokojowéj która dawno już leżała w sankach bez przytomności.

Dzielnie! zawołał Nosko mocnym głosem, oszczędzaj pan prochu, a używaj kordelasa i kolby. Widzę już opuszczony domek, utrzymaj pan walkę kilka tylko chwil jeszcze, a będziemy ocaleni.

Wtedy krwawa zasłona spadła z moich oczu i zmysły moje wróciły; Nosko poganiał bez litości biedne konie, a te wierne stworzenia raz jeszcze zebrały siły. Zdawały się zgadywać że już ostatnię przysługę mają panom oddać i dla tego ostatnie siły zebrały.

Ja tymczasem włożyłem w kieszeń pistolet i z podnieniesioną kolbą gotowałem się na przyjęcie napaści.

Czy ta groźna pastwa niespodziane wrażenie uczyniła na ścigających nas wilkach, czy też konie tak bardzo przyspieszyły biegu, dość że wilki zostały się znacznie za nami i zyskaliśmy kawał drogi przed niemi, który w téj chwili był nieoszacowanym. Spojrzałem w około i ujrzałem domek którego drzwi stały otworem; Nosko wykrzyknął radośnie, w mgnieniu oka zatrzymał konie, skoczył z siedzenia i zawołał: Już jesteśmy tu, ale prędko; żeby ani chwili nie stracić.

I już Anna z zupełną przytomnością wyskoczyła z sanek, i wbiegła do domku, za nią szedł Nosko niosąc zemdlonę pokojowę, ja byłem ostatni. Przy wnijściu stary sługa wyrwał mi broń z ręki i wyszedł. Z podziwieniem spojrzałem za nim i postrzegłem nadbiegającą gromadę wilków, już tylko o kilkanaście kroków. — Nie wystawiaj na grę twego życia! zawołałem, ale Nosko już dopiął swego celu, silném uderzeniem bicza popędził konie które znowu puściły się galopem, a on był już w drzwiach

domku, kiedy nadbiegły dwa wilki i chciały dostać się wewnątrz. Kolbą powalił obu, zatrzasnął ciężkie drzwi dębowe i zasunął ze środka zaporę.

Naprożno usiłowałbym opisać uczucia jakie mię wtedy przejmowały, wiele już lat od tego czasu upłynęło, wiele zdarzyło się wypadków które głębokie na umyśle moim uczyniły wrażenie, ale nic nie wyrównywa temu co czułem w owéj chwili. Najczystsza radość z przekonania że moja droga siostra uszła niebezpieczeństwa, zmięszała się z gorzkiemi wyrzutami sumienia, że niejestem godzien łaski przedwiecznego. Nie śmiałem przmówić do Anny, któréj zaufanie w Bogu ani na chwilę nie zachwiało się, i która teraz pewnym głosem odmawiała modlitwę dziękczynną. Wycie wilków przed zamkniętemi drzwiami, wyrwało mię nakoniec z zamyślenia, zebrałem myśli i połączyłem modły moje z modlitwą Anny, co tak mię wzmocniło w duszy że uspokoiłem się zupełnie i pocieszyłem się myślą że Najwyższy przebaczy mi rozpacz którą mię wielkość naszego wspólnego niebezpieczeństwa natchnęła.

Nosko nim popędził konie w nadziei że i one może się ocalą, schwycił z sanek palącą się latarnię i zawiesił ją w szopie w któréj znaleźliśmy schronienie.

Podczas gdy wilki nieustannie skakały na drzwi i okna opatrzone silnemi okiennicami, obejrzeliśmy nasze schronienie. Zobaczyliśmy tylko nagie kamienne ściany, po jednéj stronie stała ławka i nieco słomy rozesłane było na ziemi, ale obok znajdował się skarb nieoceniony, to jest znaczna ilość drzewa, która nas przez kilka dni mogłaby od zimna ochronić. Stary Nosko nie próżnował ani chwili, zebrał kilka kawałków drzewa, i wnet dobroczynny ogień zabłysnął na środku izby. Dym wznosił się w górę i wychodził otworem umyślnie na ten cel zostawionym w dachu. Swobodniéj teraz oddychałem i spokojniéj spoglądałem na ukochaną siostrę która usiłowała przywrócić do zmysłów zemdloną pokojowę; kilka kropel eteru wróciło jéj przytomność, usiedliśmy wszyscy w koło ognia, którego ciepło bardzo było przyjemne wpośród mroźnéj nocy.

Wziąłem Annę za ręce, oczy nasze spotkały się i mogliśmy czytać w nich wzajemnie ra-

dość z tak szczęśliwego ujścia niebezpieczeństwa. Tylko stary Nosko zdawał się nie doznawać radości: ponuro spoglądał w płomienie, czoło jego było zasępione i często potrząsał głową. Niebardzo zważałem na to, — byłem szczęśliwy! Wtém usłyszeliśmy rozdzierający krzyk zewnątrz. Nie można było pomyśléć żeby głos ludzki tak był silny, ale też nie mogłem zgadnąć, jakieby zwierzę podobny głos wydać mogło.

Panie, rzekł stary Nosko, to jest krzyk śmierci ulubionego pańskiego bieguna, nie raz słyszałem podobny głos w bitwach, młode tylko konie wydają go, bo do ostatniéj chwili z największém wysileniem bronią się śmierci. Ręczę że klacz mniéj ucierpiała. To pewna, że nasze konie stały się pastwą wilków, które teraz zajęte są przy nich, ale wkrótce z większą jeszcze wściekłością powrócą.

Stary sługa prawdę powiedział; wróciły one i na nowo zaczęły napad na nasz domek; mogliśmy wnosić, że wściekłość ich większą była niż pierwéj, bo usiłowały wdrapać się po murach i wléść na dach.

W okropnéj obawie zwróciliśmy oczy ku otworowi w dachu, pokojowa w téj chwili padła zemdlona wskazując w to miejsce.

Wiatr rozpędzał kłęby dymu i spostrzegliśmy w otworze okropne zjawisko, czterech wilków z zakrwawionemi paszczami. Podobne były w pośród dymu podziemnym czartom, bajecznym widmom. Tylko Nosko zachował spokojną przytomność umysłu; rzucił on wiązkę słomy na ogień.

— Tych nie mamy się co obawiać one boją się ognia.

Ale nagle usłyszeliśmy okropny trzask. Trzy potwory uciekły, w chwili kiedy część drewnianego dachu załamała się pod czwartym, który upadł w pośród ognia.

— Strzel pan! zawołał Nosko, ale traf dobrze. Strzeliłem a Nosko poprawił uderzeniem kolby. Wyciągnęliśmy zwierze z ognia, gdzie krew jego sprawiła gęsty nieprzyjemny dym, i zanieśliśmy je pod scianę.

Nosko oświadczył, że to bezwątpienia jedyna jest napaść tego rodzaju w nocy, ale dzień, dodał, sprowadzi nam więcéj takich gości, których nie będziemy mogli zabić.

Te słowa ja sam tylko słyszałem, i zapytałem go wpół głośno, dla czego się obawia dnia, kiedy ja sądzę, że razem z jutrzenką wilki opuszczą miejsce naszego schronienia i cofną się w głąb lasu.

— A gdyby i tak było, odpowiedział smutnie, cóżby to nam pomogło. Konie nasze padły łupem wilków, a panna Anna nie zdoła pieszo dojść do wioski? Noc znowu nas tu zaszkoczy, a wilki znajdą, nas bez trudu. Ale i ta nadzieja jest próżną, gdzie wilki tak się licznie zgromadzają, nie lękają się dnia. Poki wystarczy nam drzewo, ogień będzie nas od napaści bronić, ale w dzień płomień nie czyni na nich takiego wrażenia. Musiemy zebrać całą odwagę i zimną krew, aby do ostatniéj kropli krwi bronić się przeciw wilkom. To wszystko jednak nic nie pomoże, dodał słabym głosem.

Tym sposobem jedyna nadzieja którą pokładałem w nadejściu dnia, została zniszczoną. Zguba nasza zdała mi się teraz niewątpliwą, i rozpacz na nowo mię ogarnęła.

W obawie żeby Anna nie domyśliła się powodu mojéj trwogi, i chcąc aby jak można najdłużéj używać mogła krótkiego spoczynku, zbli-

żyłem się do niéj. Spała, spokojnie jak anioł pokoju, jak dziécię nieznające niebezpieczeństw które je otaczają. Uśmiechała się we śnie, to mi ścisnęło serce.

Stary Nosko utrzymywał ciągle ogień. Miał słuszność, w otworze dachu nie okazał się już żaden wilk, ale przy drzwiach i oknach napaść ich była wściekłą, i trwała przez noc całą.

Nim Nosko powiedział mi co nas czeka, jedynę́m mojém życzeniem był dzień, teraz pragnąłem żeby noc nigdy się nie skończyła. Nierozsądne życzenie! Cóżbyśmy na tem zyskali! to tylko, że głód zamiast wilków zakończyłby życie nasze!

Już gwiazdy zaczęły znikać i dzień którego obawiałam się zajaśniał. Chwila w któréj miała się sprawdzić przepowiednia starego sługi zbliżyła się. Potwory ośmielone swiatłem dnia zaczęły po kilkunastu wdrapywać się na dach, który już załamywał się prawie pod ich ciężarem.

Anna spała jeszcze; dziękowałem za to Bogu. W téj rozpaczy, kiedy już ostatnia nadzieja znikła, usłyszeliśmy nagle więcéj niż pięćdziesiąt strzałów ręcznéj broni, odgłos strzelców i szczę-

kanie psów, doszły do naszych uszu; kobiety obudziły się, wilki uciekły z dachu z okropném wyciem. Nosko otworzył drzwi ostrożnie, i zawołał: — Wilki już pierzchły, w téj chwili nadchodzą strzelcy.

Wybiegliśmy z domku. Zdawało nam się żeśmy odrodzili się na nowo. W tém ujrzeliśmy naszego wybawcę na czele strzelców; był to Leon B..... Któż zdoła opisać tę chwilę.

Upojony radością rzuciłem się w jego objęcia, bo moja droga, ubóstwiona Anna, była ocaloną. Z niebiańskim uśmiechem uścisnęła dłoń Leona, który jéj rękę do ust przycisnął.

Podczas kiedy strzelcy ścigali po lesie rozpierzchłych wilków, opowiedzieliśmy Leonowi cośmy przetrwali, a on wzajem objawił nam w jaki sposób tak w porę przybył nam na ratunek.

W zamku jego matki rozeszła się pogłoska, że mnóstwo wilków z lasów litewskich przeniosło się w naszą okolicę, mówiono już o kilku nieszczęśliwych wypadkach i mieszkańcy okoliczni zebrali się, w zamiarze wielkiéj obławy; Leon niespokojny o nas, zebrał co prędzéj wszystkich zdolnych do noszenia broni i wyjechał

z domu w chwili, kiedy inni sąsiedzi przybyli z swemi wieśniakami w tym samym zamiarze. Wprawdzie zamierzali nie pierwéj rospocząć wyprawę, aż dzień nadejdzie, ale wymowa zjaką Leon wystawiał niebezpieczeństwo w jakiém mogliśmy się znajdować, skłoniła ich do udania się natychmiast do lasu. Tym sposobem przyłożył się on najbardziéj do naszego ocalenia.

MINJATURA

(*Anegdotka z roku* 1839.)

Dnia 5 b. m. jeden z naszych przyjaciół, którego nazwiska nie wymieniemy, między drugą i trzecią godziną udał się do galerji obrazów. Przebiegł on już salę w dniu jéj otwarcia, miał wiele znajomości, które mu opóźniały jéj oglą-

danie, bywają obrazy jak istoty, do których się przywiązujemy, które kochamy, odwiedzamy je często, i im więcéj je widziemy, tem bardziéj się do nich przywiązuiemy, gdy się do nich przybliżamy, zdaje się, że nas witają, że chcą abyśmy się do nich zbliżyli i rozmawiali. — Przebiegłszy wielką salę galerji, nasz przyjaciel powrócił do sali wchodowéj, było to jedyne miejsce, gdzie go serce pociągało, serce, które przed dniem pierwéj oddał czarnym oczom portretu w miniaturze. — Była to młoda dziewica, biało ubrana, mająca czarne oczy błąd włosy, płeć lilji z różą, usta uśmiechające, a w jéj fizognomji wyraz niewinnéj wesołości. — O zachwycająca postaci!... o piekny przedmiocie marzeń młodzieńczych!

Nasz przyjaciel powiedział jéj dzień dobry, na co mu odpowiedziała uśmiechem. — Byli już sciślę z sobą połączeni, — Młodzieniec usiadł na przeciw obrazu, oparł się i zaczęli wzajemnie na siebie patrzeć, nie szczędził on najtkliwszych wyrazów, które ona z niemém przyjmowała zadowoleniem, — O! jakże w téj chwili nasz przyjaciel był szczęśliwym! jego serce przepełniało najżywsze uczucie, wznios

zalane łzami oczy, i westchnął... odwrócił się... ale jakże się zadziwił!... młoda osoba stała za nim, i śledziła wszystkie jego poruszenia, nie był to już portret, był to jego orginał!... Zadziwiona, nie śmiejąc wierzyć w uwielbienie i miłość jakie wzbudziła, obawiała się aby nie zniszczyła tego złudzenia. — Stała przy nim, zachwycająca, skromna, a wyraz obawy bardziéj jeszcze upiękniał jéj rysy. — A on!... cóż w ten czas uczuwał!... próżnobym chciał opisać.. choć dobrze rozumiem. —w téj chwili podeszła dama, i dwie młode panny które nasz przyjaciel wziął za matkę i siostry nieznajoméj zbliżyły się, i odciągnęły ją do wielkiego salonu. — Z przykrém uczuciem scigał je wzrokiem, jak człowiek któremu najdroższy skarb wydarto — stał nieporuszony, i smutny. Chciał ją ścigać, ale gdzie ją znajdzie, co jéj powie?. Nakoniec po chwili namysłu nie zdając sobie rachunku z swoich myśli, pospieszył za nią. — Ale tłok był nad zwyczajny, z niemałą trudnością wcisnął się do wielkiego salonu, ale mu już znikły z oczu. — Nakoniec wyszturgany, podeptany, wygnieciony, powrócił, aby się znowu

oprzeć przed portretem; widok jego ożywił go na nowo.

Czwarta godzina wybiła, a dozorcy galerji, obwoływali: " Już drzwi zamykamy,, To go przebudziło z marzeń, pomyślał że czas się już oddalić. — Niestety! trzeba było opuścić ten portret ukochany, obraz uwielbienia!... utraciwszy tę którą przedstawiał... ile cierpiał!... ale cóż przedsiewziąć?... nakoniec rozpacz go natchnęła.

Wiadomo że do koła salonu pod wiszącemi obrazami jest zielone sukno, spadające aż do ziemi, młodzieniec długo nie myślał, schylił się, uniósł draperji, znikł nie spostrzeżony... i czekał. Tłum się rozproszył, pozamykano drzwi, i nasz przyjaciel wyszedł z swego ukrycia. — Powziął zamiar, i bez namysłu go wykonał.

Ramy portretu były przytwierdzone dwoma żelaznemi gwoździkami do desek będących za suknem. — Wydrzeć gwoździe paznokciami i zębami, *(dentibus et rostro)* było dziełem jednéj chwili, dla naszego zakochanego przyjaciela, porwaną miniaturę ukrył na swojém łonie, obok swojego serca, a żeby to nie miało pozoru kradzieży, wydobył z pugilaresu bilet bankowy na

tysiąc franków, i przypiął go szpilką w miejscu porwanego portretu, uskuteczniwszy to, przybrał minę zamyślonego, i zawołał dozorców, uskarżał się że nie przejrzawszy wszystkich salonów zamknęli go i wypuszczony ze swego więzienia, zniknął. — Nie zatrzymał się aż w swojéj stancji, gdzie dobywszy z kieszeni swój skarb miłosne wlepił w niego oczy.

Nie wiem co się więcéj stało, —jakim sposobem nie spostrzegli zniknięcia portretu,i zawieszonego na jego miejscu biletu bankowego. — Opatrzność czuwała nad naszym przyjacielem. Ledwie wyszedł z muzeum, gdy wiele znakomitych osób weszło do salonu. — Postępowali, rozmawiając, przypatrując się i czyniąc swoje spostrzeżenia, zastanawiali się nad obrazem Szefera,obraz Verneta również długo ich zatrzymał, gdy młoda dama dowcipnéj fizjonomji i zachwycającéj postawy, przed którą niesiono dziécię z błękitnemi oczami, przybliżyła się do pięknéj i młodéj dziewicy mówiąc:

— Moja siostro, przybliż się, pokażę ci ten piękny portret o którym ci mówiłam.

I poprowadziła ją do wchodowego salonu.

Ale jakże się zdziwiła! portret znikł!... a na

jego miejscu w zgięciach sukiennéj draperji, przypięty był kawałek brudnego papieru.

— Cóż to znaczy? zawołała młoda dama!... Bilet bankowy!

— Ah przybywajcie! przybywajcie! jakaś tajemnica!..

— Wszyscy się zgromadzili, każdy się dziwił... różnie się domyślano... bo to było niepojętém.

Zawołano dozorców " Co to znaczy, pytano, jakim sposobem znikł portret?"

Stali zadziwieni, nic nie odpowiadając, nakoniec jeden z nich rzekł do siebie:

— Byłżeby to ów młody człowiek któremu drzwi otwierałem?...

— Młody człowiek?.. zawołała piękna dama, zdaje mi się że to będzie awanturka miłosna,... kochanek chciał mieć portret swojéj ulubionéj i wziął go.

— Ależ bilet!.. rzekł młody blondyn...

— I cóż?.. nie chciał uchodzić za złodzieja...

— Bez wątpienia zawołali wszyscy...

— Jesteś dowcipniejszą jak inni, moja siostro odpowiedział młody człowiek...

— O, ja mam serce domyślne, odpowiedziała.

— Biedny młodzieniec, mówiono, zasługuje aby odebrał portret z rąk téj którą kocha.

— Nie żałujcie go, posiada połowę swojego szczęścia, marzy... jednakże nie koniec na tém... Mój ojcze, pozwól mi zająć się tą zakochaną parą...

—Pozwałam na wszystko, kochanu córko, czyliż ci mogę czego odmówić. Zdaję się zupełnie na ciebie.

— Jednakże kochana przyjaciołko, rzekł człowiek około trzydziestu lat mający, pamiętaj że choć uszczęśliwisz jedno, może drugie będzie ci złorzeczyć... a jeżeli ten młodzieniec sam tylko kocha...

—Czyliż się nie kocha! człowieka który nas tak kocha,odpowiedziała młoda dama z anielskim uśmiechem, przecież ja, znam dobrze serca kobiet.

Odpięła numer portretu i przez małą galerję udała się z rodziną do swoich apartamentów.

Gdy weszła do swego mieszkania, młoda dama zajęła się wynalezieniem młodéj dziewicy któréj portret porwano. Numer portretu dał poznać malarza, malarz wyjawił osobę; samo jéj imie zalecało ją, ale ja muszę o niém zamilczéć.

Pani*** wdowa po znacznym urzędniku, używała dosyć znacznego majątku, i cieszyła się powszechnym szacunkiem.

Natychmiast więc matka i córka, zostały wezwane przed dostojną protektorkę naszego przyjaciela. Wprowadzone do niéj, czekały wyjaśnienia zaszczytu jaki je spotkał.

— Już teraz rozumiem, rzekła do siebie młoda dama, bacznie uważając piękną pannę *** za ognistą cokolwiek wyobraźnię mojego klienta, i muszę wyznać, że potret nic nie skłamał. — Po chwili rzekła głośno.

— Spodziewam się że nie weźmiecie mi panie za złe, żem śmiała je trudzić; zajęcie którém mnie zawsze natchnie prawdziwe uczucie, jest sprężyną obecnego mojego postępowania; nie jesteś mi panna obcą, znam ją już, to cię zadziwia. Oszczędzam ci większego podziwienia, ale przede wszystkiém chciałabym pomówić z matką pani, — nie możemy nic postępować bez niéj.

Na te słowa młodą pannę jedna z dam honorowych zaprowadziła do przyległego pokoju.

Jéj matkę młoda dama zatrzymała w salonie.

Zdziwiło ją to nadzwyczajnie, lecz nie mogła sobie téj tajemnicy wytłómaczyć.

— Córka pani czy nikogo nie kocha? żaden młody człowiek nie ubiegał się o jéj przywiązanie?

— O ile wiem, mogę zaręczyć że nikt, bo moja córka nie ma przede mną żadnéj skrytości. — Jednakże spostrzegam w niéj niejaką odmianę, wesołość cechowała zawsze jéj charakter a od dzisiejszego poranku, od powrotu z galerji obrazów, jest smutną, zamyśloną, i teraz jak sobie przypominam, ile razy mowiono o jéj obrazie, stawała się bardziéj zamyśloną, zdaje mi się żem nawet widziała łzy w jéj oczach.... gdyśmy go chcieli obejrzéć, poprowadziła nas naumyślnie odległą galerją sztychów.

— Wistocie to jest wypadek szczególny, odpowiedziała młoda dama, byłażby to miłość pochodząca z jednego spojrzenia?. Mieliśmy wiele przykładów; postępek tego młodzieńca mocno mnie obchodzi, potrzeba miéć serce bardzo zajęte, aby podobne powziąść postanowienie.

— Albo też szalone!

— W miłości zawsze jest cokolwiek szaleń-

stwa, lecz tego nie widziemy, gdy już nie kochamy. — Jakkolwiek bądź, to czego się dowiaduję, potwierdza moje mniemanie, i jeżeli pani raczysz mnie upoważnić, z chęcią zajmę się szczęściem tych młodych ludzi, zawsze jednak poradziwszy się córki pani.

— Pani, odpowiedziała matka, zaszczyt jaki nam czynisz zajmując się nami, nadaje prawo żądania odemnie zupełnego podania się jéj woli. Ależ ten młody człowiek, któż on jest.

— Bądź pani spokojną, nie pierwéj go pani przedstawię, aż dokładnie powęzmę wiadomość; to co dotąd, uczynił zdaje się mówić w pewnym względzie za jego sercem i majątkiem.

— A zatém racz pani nami rozrządzać.

— Ustępujesz więc pani wszystkich praw matki.

— Będę najszczęśliwszą gdy je pani zechcesz łaskawie przyjąć.

— Młoda pani zawołała swojéj damy honorowéj.

— Proś panny *** rzekła.

Młoda panna, wszedłszy zwróciła się ku swéj matce.

— Te piękne czarne oczy, rzekła jéj dostoj-

na protektorka, mimowolnie zrodziły wiele cierpień w biedném sercu...

Kochanka naszego przyjaciela, pomyślała o młodym człowieku i o portrecie, i zarumieniła się.

— Dobrze, rzekła młoda dama, nie jest to im zupełnie niewiadomém. Moje dziécię, dodała biorąc ją za białą rączkę, połóż we mnie całe zaufanie, od téj chwili jestem twoją matką.... albo twoją siostrą jeżeli wolisz. Chciałabym ci zadać kilka mało znaczących pytań, co dziś zaszło w salonie wystawy obrazów.

Młoda dziewica mocniéj się zarumieniła i odpowiedziała z słodką bojaźliwością.

— Nic strasznego, pani, zbłądziłam nawet, zajmując się tém. — Mówiąc to spojrzała na matkę.

— Gdym weszła do galerji, jakiś młody człowiek stał przed moim portretem, płakał patrząc na niego, a może i nie patrzał, może o czém innném myślał w téj chwili.

— Ale tak jest, tak, patrzył na niego.

— Czy tak pani sądzisz? oh! i mnie się tak zdaje.

Ocucony mojém mimowolném poruszeniem, obejrzał się, zdawał się być zadziwionym, szczęśliwym, uczucie malujące się w jego spojrzeniu tak wzruszyło moje serce, że nie wiedziałam gdzie jestem. W téj chwili moje siostry i mama zaprowadziły mnie do wielkiego salonu, postępowałam za niemi nie odwróciwszy nawet głowy. Oto wszystko.

— Czy pierwszy raz widziałaś tego młodzieńca?...

— Zdaje mi się żem go kiedyś widziała na balu, ale dotąd nie myślałam o nim wcale.

— Rozsądnie uczyniłaś, bo jak wszystko nas przekonywa, ten zapalony wielbiciel niczém nie jest więcéj jak tylko złodziejem...

— Złodziejem?... czy być może?

— Wszelkie podejrzenia obwiniają go i już jest prawie dowiedzioném, że on ukradł twój portret z galerji.

— Wziął mój portret?...

Słodkie uczucie przejęło serce młodéj dziewicy, a jéj oczy jasno objawiały co się dzieje w jéj sercu, i rzekła z wyrazem godnym uwielbienia.

— O! to bardzo źle.

Jéj dostojna przyjaciółka spoglądała na nią uśmiechając się.

— Na miejscu portretu zawiesił tysiąc frankowy bilet.

— A to mi złodziéj!... rzekła młoda dziewczyna, któréj cała wesołość powróciła.

— Więc go nie chcesz odebrać.

— O! przeciwnie, tyle mi był drogim.

Młoda dama zbliżyła się do niéj: Ten młody człowiek rzekła, kocha cię, a ty zapewne nie chcesz mu się za to źle wywdzięczyć.

— O zapewne.

— Czy kochasz go.

— Oh! nie... byłoby to szaleństwem, widziałam go tylko przez chwilę.

— Aleś go dobrze widziała... taka chwila więcéj czasem znaczy niżeli wiek cały... ty go kochasz... cokolwiek.

— Pani, twoja dobroć porusza mnie do głębi serca mego, nie powinnam miéć żadnéj tajemni- dla ciebie i wyznaję, że jeżeliby on był takim jakim mi się zdawał, uwielbiałabym go...

— Dobrze, więcéj mi nie potrzeba...

Gdy się oddalały, młoda dama rzekła:

— Pamiętaj pani, żeś przelała na mnie pra-

wa macierzyńskie, a ty moja młoda przyjaciołko jesteś odtąd moją młodszą siostrą.

— Nigdy panią nie przestanę kochać i błogosławić, odrzekła młoda dziewica, tonem uwielbienia.

Protektorka naszych młodych ludzi, naprzód wszystko przewidziała. Rozkazała przywołać swojego sekretarza służbowego, i zaleciła mu, aby kazał ogłosić we wszystkich dziennikach, że obraz w miniaturze, mający numer... został wzięty z galerji obrazów, i że po wielu poszukiwaniach, podejrzenie padło na pewnego młodego człowieka, którego uznano za sprawcę tego występku.

Nazajutrz wszystkie dzienniki umieściły tę wiadomość, nasz przyjaciel ją przeczytał, lecz się nie wzruszył.

Nazajutrz powtórnie czytano uwiadomienie.

“ Obwiniony został przytrzymanym; podejrzenia się potwierdzają, i pomimo jego zaprzeczań magistrat nie wątpi o rzeczywistości jego występku.

Zresztą, nic nie wspomniano o bilecie bankowym.

Czytając to drugie doniesienie młody człowiek zawołał z oburzeniem:

— Otóż to jest sprawiedliwość ludzka!... Zatrzymują jakiegoś biedaka, który nawet nie wie o co rzecz idzie, wtrącą go do więzienia, i na zasadzie podejrzeń, niedowiedzionych, oddadzą go pod surowy sąd, i może go skażą...

Ta myśl żywo go udręczała, i pomimo boleści jakiéj doznawał, rozłączając się z drogim przedmiotem, postanowił oddać obraz właścicielce... Po raz ostatni spojrzał na niego, po tysiąc razy ucałował i wyszedł aby go oddać dozorcy muzeum.

Przez drogę myślał o bilecie bankowym, jeżeli który z odźwiernych, rzekł do siebie, zdjął go, nim spostrzeżono zniknięcie obrazu, wezmą mnie za pokutującego złodzieja. Jednak ta myśl nie wstrzymała go.

— Oto jest, rzekł do dozorcy, obraz, przed wczoraj wzięty z muzeum. Człowiek którego uwięziono jest niewinnym, ja wziąłem obraz, ale jedynie wcelu przekopijowania go. — Proszę cię abyś go sekretnie zawiesił. Przyjmij ten pieniądz, i zapłać robotnikowi który się tém zajmie.

— Bądź pan tak dobrym, rzekł dozorca, wymienić mi swoje nazwisko, i miejsce zamieszkania...

— Nie widzę tego potrzeby, gdy oddaję obraz,... ale mniejsza oto, nie chcę z tego czynić tajemnicy, oto jest mój adres.

Adres i obraz odniesiono natychmiast dostojnéj młodéj damie. Postępek naszego przyjaciela w téj ostatniéj okoliczności, stał się w jéj oczach nową rekojmią szlachetności jego charakteru. Jednakże nie ograniczyła się na tém, powinna być surową, ponieważ nie za siebie działała. — Zasięgniono wiadomości, z najdrobniejszemi szczegółami, a wszystkie w pochlebném świetle wystawiały naszego przyjaciela.— Posiadał on wszystkie przymioty człowieka honoru, i dobrego obywatela, zdrowy rozsądek, serce najlepsze, cokolwiek może był zapalonym i ten był tylko jeden błąd, który mu można było zarzucić... Posiadał przy tém nie zależny od nikogo majątek.

Nazajutrz odebrał paczkę opieczętowaną, w któréj znajdował się bilet bankowy i następujący list.

"Zanieś pan tę paczkę podług adresu, tam

znajdziesz osobę, która ci wyjasni całą tajemnicę.

" Może otrzymasz z rąk téj którą tak kochasz, przedmiot który ci podwojnie stanie się drogim.

"Są osoby które myślały o twojém szczęściu"

Niewymieniemy nazwiska podpisanego na końcu listu, ale o tém możemy zapewnić, że nasz przyjaciel z uszanowaniem przycisnął list do ust swoich, i zawsze będzie uważał go za najświętszą pamiątkę swego życia.

Nie będziemy także kreślić podziwienia, radości, i tego nieopisanego wzruszenia jakie opanowało jego serce, pióro nie zdolne jest wyrównać naturze. Gdy wybiła godzina stawienia się, nasz przyjaciel pospieszył na przeznaczone miejsce. Przez wspaniałe kamienne wschody, wszedł na pierwsze piętro i z sercem pełném wzruszenia zadzwonił, otworzono mu, i gdy wymienił swoje nazwisko, człowiek w pewnym już wieku, wyszedł na jego spotkanie i przyjął go z największą uprzejmością.

Dostojna protektorka, nie zapomniała o niczém, i jéj to był winien przyjęcie jakiego doznał.

— Osoba przed którą nasz przyjaciel był wprowadzonym, rzekła: Mości panie, jestem stryjem téj na któréj wezwanie zaszczycasz nas pan swoją obecnością, i ja w téj chwili zastępuję miejsce jéj ojca.

— Chciéj pan być tak dobrym, rzekł nasz przyjaciel i racz mi wybaczyć jeżeli postępek mój będzie ci się zdawał może nieco nierozsądnym, czynię go na wezwanie wyższe, i tylko pośrednictwo dostojnéj osoby, skłoniło mnie do kroku, do którego nie mogły mnie zmusić najżywsze życzenia serca mojego.

— Ta więc osoba o któréj pan mówisz, już się wstawiła za nim, witam go więc z całego serca.

Tak rozmawiając, zbliżyli się do drzwi salonu.

Trzy damy siedziały tam; matka, córka i dama honorowa, którą mieliśmy już sposobność widziéć w apartamentach dostojnéj protektorki. Oznajmiła ona jego nazwisko znajdującym się damom, i przedstawiła go ze strony swéj pani.

Młoda dziewica, przyjęła go z uprzejmém pomięszaniem, spuszczając niekiedy czarne oczy,

pełne uroczego wdzięku. Czegóżby wtenczas nie poświęcił, aby się mógł do nóg jéj rzucić! Ale byłoby to coś podobnego do komedji, postanowił więc wstrzymać się.

Matka odebrawszy wiadomą nam paczkę z rąk jego, oddała ją swéj corce, ta odpieczętowała i wyjęła z niéj portret... kochankowie w téj chwili spojrzeli na siebie, a łzy zabłysły w jéj oczach. Młoda dziewica, trzymając portret w drżącéj ręce spojrzała na matkę, i na dany przez nią znak, ofiarowała go z nieśmiałością naszemu przyjacielowi.

— Przyjmij pan, ponieważ tak żądają.

— O! nie pani, wiem że wyższa wola skłania cię do tego, ale wybacz... od ciebie pani, od ciebie saméj przyjąć go tylko mogę... pozwól mi wyrzec się tego szczęścia aby podwoić jego potęgę... zostań wolną... przynajmniéj... widzę cię...

Spojrzała na niego, ale tym razym spokojnie.

— Pochwalam pana postępek, odpowiedziała podając mu rękę.

Nasz przyjaciel przepełniomy radością rzucił się do jéj nóg, i okrywał jéj rękę tysiącznem

pocałowaniami. Te odwiedziny przeciągnęły się póżno w wieczór, i gdy musiał się oddalić, zdawało się że mu w téj chwili wydzierają najwyższe dobra na ziemi.

Natenczas młoda dziewica podała mu jakiś przedmiot owalny owinięty w mały niebieski szalik, mówiąc.

— To ja! —to ja sama!

— Była to jéj miniatura. Nasz przyjaciel był w niebie.

Wszystko każe nam się domyślać że nie upłynie lato a te dwa kochające się serca połączone będą swiętym i nierozerwanym węzłem.

ALDOVRANDUS

MAGNUS.

I.

MATKA.

Do dziś jeszcze widać w Bruges niedaleko od królewskiéj akademji malarstwa, drewniany dom zbudowany w wieku piętnastym, przekształcony teraz w pewien rodzaj folwarku, gdzie co chwila zajeżdzają i skąd wychodzą wozy na-

pełnione jarzyną, był on jednak w roku 1490 mieszkaniem najbogatszego kupca miasta Bruges. Ten kupiec nazywał się Mikołaj Aldovrand, i corocznie posyłał do Lewantu dwadzieścia okrętów ładownych suknem i płotnem; a wzamian przywoził towary tamtych okolic. Podobny handel dobrze zrozumiany i rozpoczęty z znakomitemi kapitałami, przynosił mu corocznie dwadzieścia pięć do trzydziestu beczek złota; dla tego też nikt bardziéj od niego nie cieszył się, kiedy zatargi powstałe między arcyksięciem Maxymiljanem i mieszczanami Bruges ucichły nakoniec i pozwoliły wrócić pokojowi i wspierać przemysł i handel.

Pewnego wieczora, strawiwszy dzień cały nad dozorowaniem ładowania towarów, dyktowaniem listów i doglądaniem dwudziestu pisarzy którzy prowadzili jego korespondencje i księgi handlowe, wszedł do wielkiéj sali zdobnéj sztukaterjami rzadkiéj piękności, w któréj znajdowała się jego żona. Nie mógł powściągnąć poruszenia nieukontentowania widząc ją pieszczącą się tkliwie z młodzieńcem od lat piętnastu do szesnastu, siedzącym przy jéj nogach, i któ-

ry miękko opierał głowę na kolanach swéj matki.

— Na krew świętą, zawołał kupiec, czyliż Antoni nie jest już w wieku w którym można obejść się bez takich dziecinnych pieszczot? Nie wstydże to widzieć młodzieńca któremu tylko brody nie dostaje, aby był skończonym człowiekiem, oddającego się zabawkom którychby się wstydziła siedmioletnia dziewczyna.

Na gniewny głos ojca, Antoni wstał i z spuszczoną głową, z twarzą świeżą i rumianą zakrytą w części długiemi blond puklami, słuchał łajania ojca nie odpowiadając i z oczyma łez pełnemi.

— Bardzo pięknie, mówił daléj kupiec, bardzo pięknie, nosić czapkę axamitną którą jedna kropla deszczu zniszczyłaby zupełnie, i suknie jedwabne które kosztują więcéj pieniędzy niżbyś zdołał przez cały rok zarobić. Na Boga, twoja matka nierozsądnie czyni, że pobłaża podobnym dziecińśtwom.

Ta do któréj stosował się ostatni wyrzut, powstała z krzesła zdobnego rzeźbą i poszła ku framudze okna gdzie stał jéj mąż. Nie znając ogromnych bogactw tego ostatniego, trudno byłoby wytłó-

maczyć sobie, jakim sposobem tak ponury starzec mógł zaślubić tak piękną i słodką istotę. Mogła ona liczyć zaledwie trzydzieści dwa lat, a prześliczne czarne włosy trefione starannie, powabnie otaczały czyste jéj czoło i bladą twarz nacechowaną jakąś majestatyczną melancholją. Była ona córką burmistrza z Bruges, i przed szesnastu laty na rozkaz swego ojca, musiała opuścić dwór hrabiny Marji swéj matki chrzestnéj, aby zaślubić mistrza Aldovranda, wdowca po dwóch już żonach i najbogatszego kupca w całém mieście. Ani jedno ani drugie nie znalazło szczęścia w tym związku. Aldovrand nie mógł nigdy darować własnéj szpetności i podeszłego wieku młodej i pięknéj kobiécie która zamieszkała pod jego dachem, a ona nie mogła pomimo poddania się woli ojcowskiéj i usilnéj chęci dopełnienia obowiązków dobréj żony, zapomniéć świetnego dworu swojéj chrzestnéj matki, w porównaniu z teraźniejszém jéj życiem. Aby się podobać Aldovrandowi trzeba było przywdziać suknię grubą, wstawać ze świtem, objąć zarząd domu i dawać przykład służącym przez swoję gorliwość. Małgorzata nie czuła w sobie odwagi do tego,

i ani razu nie sprobowała zanurzyć swe białe ręce w ługu praczek, któryby mógł zniweczyć jéj delikatną skórę. Całe dni przepędzała ona w téj sali w któréj ją zastaliśmy, nie mając innych rozrywek prócz książki modlitw i lutni, ani innéj pociechy prócz swego syna. Przeciw gniewnym rozkazom męża i jego uwagom niekiedy grubjańskim, stawiała ona najdzielniejszy ze wszystkich oporów, to jest siłę słabości. Nigdy nie sprzeczała się i nie opierała. Zdawałoby się że nieograniczone posłuszeństwo powinno być skutkiem téj bezsilności, ale ta istota tak słaba i lękliwa nie ulegała nigdy temu co sądziła niesłusznem i niepotrzebném. Mistrz Aldovrand, przyzwyczajony rozkazywać wszystkim i znajdować ich posłusznemi co do litery, nie mógł dotychczas odnieść zwycięstwa nad tém słabém stworzeniem. Tysiąc razy wolałby znaleść opór gwałtowny, zacięty, bo topór który zwala twarde drzewo, bezskutecznie tonie w poduszcze puchowéj. Kiedy ujrzał syna oddalającego się od matki, a ją nie odpowiadającą na wyrzuty czynione tonem pełnym goryczy, uczuł swe serce ściśnięte gniewem, to poruszenie nierozmyślne

rzuciło go w nową niesprawiedliwość, a co gorsza, w sprzeczność z samym sobą:

— Nie mogę pokazać się tu, zawołał, żeby zaraz szczęście i radość nie znikły z każdego oblicza! mój widok czyni je smutnemi. Nie jestżem twoim mężem, nie jestżem twoim ojcem?

Antoni spojrzał na matkę, jakby chciał wyczytać w jéj oczach co ma czynić. Małgorzata skinęła aby się oddalił, i kiedy dziecię uchodziło z lekkością ptaka, ona wzięła pod rękę mistrza Aldovranda.

— Antoni jest od kilku dni słaby, rzekła, dla tego nie chciałam żeby szedł do magazynu jak to zwykle czyni. Wiesz ile niespokojni jesteśmy o zdrowie tego delikatnego dziecięcia.

— Zbytek starań jest przyczyną téj delikatności Antoniego, i gdyby zamiast jedwabnéj kurtki nosił obszerny kaftan z grubego sukna jak jego ojciec, nie obawiałby się co chwila kataru i kaszlu. Ale ty chcesz go ubierać jak panicza i widzisz tego skutki.

Małgorzata po pierwszych zaraz słowach puściła rękę męża, siadła przy krośnach i zaczęła

na nowo haftować ztaką gorliwością i tak mało zdawała się uważać na mowę męża, iż on zupełnie straciwszy zimną krew, porwał gwałtownie krzesło i rzucił je pod nogi żony; strzaskało się w kawałki, które się rozsypały na podłodze marmurowéj. Małgorzata podniosła oczy, odsunęła nieco swoje krzesło i krosna i znowu zaczęła haftować. Zawstydzony swoim gniewem i wściekły że rozwaga jego żony taką jéj nad nim daje wyższość, mistrz Aldovrand zgrzytnął zębami i z taką siłą szarpnął złoty łańcuch który miał na szyi, iż go rozerwał na kilka części.

— Wreszcie to się nie długo skończy; ponieważ syn mój nie może tu tak postępować jak ja chcę, przeto oddalę go z domu.

Na te groźne słowa drżenie przebiegło wszystkie członki biednéj matki, i rzuciła na męża spojrzenie trwogi i rozpaczy. Aldovrand zrozumiał to spojrzenie, i okrutna radość wstrząsła jego sercem, ponieważ pierwszy raz ujrzał że jeden z jego ciosów trafnie uderzył, i zmusił jego ofiarę do zdradzenia boleści którą dotychczas umiała ukrywać.

— Tak, mówił daléj, Antoni opuści mój dom nie za rok, nie za miesiąc, ale jutro.

— Nie uczynisz tego! zawołała Małgorzata odrzucając krośna i powstając blada, zmieniona, mdlejąca.

— Owszem, kochanie, uczynię to! przerwał z gwałtownością prawie wściekłą. Antoni jutro pojedzie do Ostende, tam wsiądzie na mój okręt *Saint Bavon*, który udaje się do Lewantu. Posłany do mego wspólnika który zarządza handlem moim w tém mieście, zostanie tam przez cztery lub pięć lat, przez ten czas nauczy się języków wschodnich i nie będzie się wstydził mierzyć łokciem sukno, pakować towary albo pisać rachunki sklepowe.

— To nie podobna! nie podobna! Chcesz panie bawić się moją trwogą. Rozłączyć mię z mojém dziécięciem, odjąć mi moje szczęście, moję jedyną pociechę! oh! to nie podobna.

— Zostanie ci twój mąż pani, mruknął stary bez litości.

— Ah, czyliż nie wiesz że Antoni jest moim synem że bez niego nie pozostanie mi nic jak umrzéć!

— Pozostanie ci twój mąż! powtórzył nieugięty starzec.

— Cóż się z nim stanie, sam, słaby, cierpiący, w pośród przykrości długiéj i niebezpiecznéj podróży, w kraju obcym, zdala od matki... Oh! nie, nie każesz mu odjeżdżać. Mężu, przez litość, niech nie odjeżdża!

— Ah! przecie zdołałem cię wzruszyć! Zaczynają cię obchodzić moje rozkazy,... ale stanie się jak postanowiłem. Przygotuj albo rozkaż aby przygotowano wszystko co potrzeba na podróż dla Antoniego: jutro o świcie pożegnasz go.

Otarła łzy, pohamowała konwulsyjne poruszenie które wstrzęsło wszystkie jéj członki i z postanowieniem założyła ręce na piersiach:

— Antoni nie pojedzie! rzekła topiąc w twarzy męża spojrzenie potęgi, które zmusiło go spuścić oczy.

— Gdyby chciał opierać się mojéj woli, każę go gwałtem zanieść na okręt.

— Antoni nie pojedzie!

— Każę go wrzucić na pokład związanego jak winowajcę.

— Antoni nie pojedzie!

— Przeklnę go.

— Nie pojedzie! Cóż znaczą groźby, cóż znaczą przekleństwa których Bóg nie wysłucha, ponieważ są niesłuszne i okrutne! Słuchaj mię, Aldovrandzie. Dotychczas byłam kobietą uległą swemu losowi, z religjiném staraniem ukrywałam przed okiem wszystkich moje cierpienia i twoje okrucieństwa; chciałam żeby całe miasto było przekonaném że byłam jeśli nie zupełnie szczęśliwą, przynajmniéj spokojną. Wszystkim mówiłam że jesteś dobrym dla mnie i mój ojciec nawet nigdy z oczu moich ani z słów nie wiedział o cierpieniach i męczarniach jakiemi mię dręczyłeś. To co czyniłam czynić będę i nadal, bo to jest powinność żony i chrześćjanki.. Ale gdybyś mię rozłączył z moim syncm, z mojém dziecięciem, jedyném mojém dobrem! gdybyś chciał narażać tę słabą istotę na niebezpieczeństwa podróży w dalekich krajach...Ah! biada ci! bo pójdę do mego ojca, pokażę mu te szczątki sprzętu rzuconego przez ciebie na słabą kobiétę, przez męża, na tę którą przysiągł przed Bogiem bronić do śmierci. Będę prosić mego

ojca o schronienie dla nieszczęśliwéj matki z dziécięciem. Jeśliby mój ojciec nie był dostateczną dla mnie obroną, pójdę rzucić się do nóg hrabiego Filipa, wezwę sprawiedliwości jego w imieniu jego matki, która była moją przyjaciółką. Strzeż się mistrzu Aldovrandzie. Nie wydzieraj lwicy jéj dziécięcia!

— Antoni pojedzie! powtórzył zimno starzec.

Małgorzata rzuciła się ku drzwoim, Aldovrand zastąpił jéj drogę... w téj chwili drzwi się otworzyły i ukazał się człowiek około lat pięćdziesięciu, którego bogata axamitna suknia zdawała się zapowiadać człowieka znakomitego stopnia.

Na widok obcego, Małgorzata i Aldovrand zatrzymali się. Oblicze starego mieszczanina nabrzmiałe, zaczerwienione gniewem, siliło się przybrać wyraz łagodności, a matka Antoniego blada, jak córka Jairy kiedy wyszła z grobu, chciała przemówić, ale napróżno, kilka słów przychylnego powitania. Nowo przybyły udając że nie postrzegł nic dziwnego w scenie któréj świadkiem uczynił go przypadek, z u-

szanowaniem ukłonił się Małgorzacie i podał rękę staremu kupcowi.

— Otóż wreszcie wróciłem, rzekł; przybywam z Kolonji, gdzie interesa zatrzymały mię blisko przez sześć lat. Ten rok był bardzo obfity. Żniwo złota nie chybiło, mój mistrzu dodał kładąc poufale rękę na ramieniu Aldovranda. Oto kilka listów od mistrza Spranger, za które dasz mi dwie beczki złota, jeśli nie zechcesz zatrzymać ich wartości i użyć ich w twoim handlu jak te summy keóre ci powierzyłem poprzednio.

Wasze zaufanie pochlebia mi, i starać się będę użyć pieniędzy waszych w sposób któryby usprawiedliwił to zaufanie, odpowiedział kupiec którego wyraz *złoto* zawsze łagodził i prawie czarował. A zatém, Małgorzato, wydaj potrzebne rozkazy niech przygotują natychmiast mieszkanie mistrza Memlink aby mógł użyć w niém spoczynku jakiego bezwątpienia potrzebuje.

— Więcéj potrzebuję posiłku niż spoczynku, mistrzu Aldovrandzie, a zatém za waszém pozwoleniem, zaczekam tu rozmawiając z waszą żoną na godzinę wieczerzy. Potém obracając się

do Małgorzaty dodał: Chciéj pani przyjąć jako dowód pełnéj szacunku życzliwości, ten różaniec, który przywiozłem z sobą, a który poświęcony został w Rzymie przez samego ojca świętego.

I dobył z kieszeni wspaniały różaniec którego złote duże ziarna błyszczały misterną rzeźbą. Małgorzata podała mu rękę którą on z uszanowaniem poniósł do ust swoich... Uczuł iż drżała i była pałającą jak ogień. Serce jego wzruszyło się myślą o cierpieniach biednéj kobiety, chociaż nie znał jeszcze ich przyczyny. — Nieszczęśliwa! pomyślał; jakże drogo opłaca majątek którego nie używa.

— Matko! matko! już wieczerza gotowa, zawołał Antoni wchodząc wesoło do sali, bo dzięki lekkości swego wieku zapomniał już przykrych słów ojca. Ujrzawszy go zatrzymał się nagle, zmięszany; ale zobaczywszy mistrza Memlink pobiegł rzucić się w jego obięcia.

— Ah! mój chrzestny ojcze, wróciłeś! Bogu dzięki, mam ci co pokazać, jeśli przyrzeczesz że nie będziesz się bardzo śmiał ze mnie. Podług twojéj rady zrobiłem kilka rysunków.

Nie trudź twego chrzestnego ojca temi głupstwami, przerwał cierpko Aldovrand. No, panie kumie, pojdziemy do stołu.

Memlink podał rękę Małgorzacie. Antoni wesoło i pieszczotliwie objął rękami lewą rękę ojca chrzestnego i wszyscy czworo zasiedli do stołu. Uderzającą była sprzeczność wyrazu każdéj z tych twarzy, ożywionéj tak rozmaitemi między sobą uczuciami. Stary Aldovrand czynił pracowite wysilenia aby się okazać spokojnym i wesołym; ale słowa jego chociaż wesołe z treści, ponure miały wyrażenie; grubemu śmiechowi jego nie dostawało szczerości. Małgorzata starała się wdzięcznie czynić honory swego stołu, względem przyjaciela którego tém więcéj szacowała iż w nim postrzegła tkliwe ojcowskie przywiązanie do Antoniego, usiłowała rozmawiać z pozorną swobodą umysłu; ale ile kroć spojrzała na syna, rozpacz ściskała jéj serce i głos jéj tłumiła. Memlink silił się żeby nie pokazać że widzi łzy napełniające oczy biednéj matki, ale czuł że sam jest smutny; jakiś przymus gnębił go, i apetyt z jakim wszedł do swego kuma, znikł kiedy usiadł do stołu z współ

biesiadnikami tak mało skłonnemi do wesołości Sam tylko Antoni jadł z apetytem piętnastoletniego młodzieńca i nic nie pojmował z pomięszania swego ojca i matki.

Po długiéj wieczerzy, podczas któréj najwyszukańsze wina zdawały się gorszkiemi Aldovrandowi, i nie zdołały rozweselić jego gościa, Małgorzata skinęła na syna aby odmówił modlitwę dziękczynną. Wszyscy powstali od stołu i usiedli przed wysokim kominem, na którym paliły się ogromne kłody drzewa. Antoni którego ciągłe tkliwe pieszczoty, uczyniły czulszym i dziecinniéjszym niż zwykle bywa się w jego wieku, pieszczotliwie oparł głowę o piersi swego chrzestnego ojca i bawił się z ogniwami złotego łańcucha który spływał na jego kaftan. Aldovrand nie słuchając wdzięcznego szczebiotania dziécięcia, oddał się gorzkim myślom, a Małgorzata, biedna Małgorzata, z trwogą widziała jak czoło jéj męża stawało się co chwila posępniejszém, groźniéjszém. Memlink na pozór zajęty tylko swoim chrzest-

nym synem, śledził skrycie spojrzenia małżonków, i wkrótce odgadł z wzroku rozpaczającego, jakim Małgorzata spoglądała na swego syna, że to dziécię było przyczyną burzy domowéj.

II.

OJCIEC CHRZESTNY.

W miarę postępu godzin, trwoga Małgorzaty stawała się coraz większą; zaledwie mogła utrzymać się na krześle, a jéj ręce machinalnie tylko poruszały iglicą nie zważając że siatka którą w ręku trzymała nie powiększa się ani o jedno oko. W ten sposób nadeszła godzina dzie-

wiąta, mistrz Aldovrand dał znak do modlitwy wieczornéj przyzywając za pomocą srebrnéj piszczałki przywieszonéj u pasa, wszystkich swoich domowników, i kilkunastu robotników którzy mieszkali w jego domu. Wszyscy uklękli w wielkiéj sali z twarzą obroconą ku ołtarzowi matki zbawiciela wzniesionemu nad kominem; nastąpiło poważne, religijne milczenie. Wtedy gospodarz sam jeden stojąc w pośródku, zaczął głosem poważnym odmawiać modlitwę pańską, po tém skład apostolski, spowiedź powszechną, i zakończył pozdrowieniem anielskiém. Małgorzata zajęta swoją boleścią połączyła swoję modlitwę słabą i łkającą z surowemi wyrazami nieczułego starca, który obojętnie wymawiał pełne miłości wyrazy do boskiéj opiekunki grzesznika, do téj, która anielską czystość dziewicy, połączyła z wzniosłym charakterem macierzyństwa. Aldovrand nie śmiał jéj przerywać, a Memlink uczuł wstrząśnienie w saméj głębi serca, kiedy usłyszał ją wymawiającą z rozczulającém wyrażeniem:

— Swięta Marjo, matko Boża, módl się za nami!

Po skończonych modlitwach Antoni powstał

z swego miejsca, przystąpił do ojca i klękając przed nim rzekł:

— Ojcze, proszę cię o błogosławieństwo.

Był to zwyczaj zachowywany ciągle w domu Aldovranda. Ale w téj chwili widząc klęczącego syna z głową pokornie pochyloną, serce starca zmiękczyło się nieco i lekkie wzruszenie zmieniło głos jego, kiedy kładąc ręce na czole Antoniego rzekł:

— Spij spokojnie mój synu, błogosławię cię w imie Ojca i Syna i Ducha Świętego.

— Amen! zawołała Małgorzata, amen! powtórzyła raz jeszcze.

Antoni powstał i poszedł uklęknąć przed matką aby i od niéj otrzymać błogosławieństwo. Ale ona porwała go w swoje objęcia, przycisnęła go konwulsyjnie do piersi i okryła pocałowaniami. To uniesienie wróciło starcowi całe okrucieństwo jego postanowienia; przystąpił do nich, wziął za rękę Antoniego uniesionego boleścią matki i rzekł:

— Idź na spoczynek, już czas.

Potém obracając sią do mistrza Memlink dodał.

— Niech was Bóg ma w swojéj opiece, kumie!

Wszyscy powstali, a kupiec pozostał sam z Małgorzatą. Złamana boleścią, padła nieszczęśliwa do nóg męża, bez siły, bez oporu, bez odwagi, przygnieciona cierpieniem, umierająca. Patrzał na nią ozięble, a kiedy wyciągnęła do niego błagające dłonie, zapytał:

— Czy wszystko gotowe do wyjazdu Antoniego?

Krzyknęła i padła bez zmysłów.

Zemdlenie Małgorzaty zmięszało z razu starego kupca, który nigdy jeszcze nie widział swéj żony w takim stanie wzruszenia i rozpaczy; usiłował przywrócić ją do zmysłów; ale wziął się do tego tak niezręcznie i bez doświadczenia, że usiłowania jego pozostały bez skutku. Wtedy dotykając tego skościałego ciała, na widok tych członków bez ruchu, zesztywniałych, zląkł się i sądził że Małgorzata umarła. Tysiąc okropnych myśli obległo jego wyobraźnię, i zgryzota scisnęła jego serce. Oddałby wszystko w świecie żeby nie był nigdy powziął tego okropnego zamiaru, ktorego ciosu nie mogła znieść żona jego. Wyrzu-

cał sobie z przerażeniem swój upór zacięty w odrzuceniu prośb biédnéj matki. To pochylał się nad Małgorzatą, rozcierał jéj ręce, skrapiał wodą jéj czoło, i z trwogą oczekiwał skutku tych starań; to znów podnosił się gwałtownie, zrzekał się bezużytecznych usiłowań, i przyspieszonym krokiem chodził po obszernéj sali, oskarżając naprzemian Małgorzatę, swego syna i samego siebie. Potém wracał do żony, znowu odstępował od niéj, nie śmiejąc wołać o pomoc a tracąc głowę. Nakoniec postanowił zanieść Małgorzatę do jéj łóżka i dopiero zawołać pokojowych. Ale to nie było łatwém do wykonania dla starca, podnieść ciężkie i nieruchome ciało kobiety zesztywnionéj przez konwulsje a może i śmierć. Z spotniałém czołem usiłował kilkakrotnie wykonać swój zamiar, ale ile razy po długich wysileniach uniosł nieco od ziemi ciało Małgorzaty, znowu ono wymykało się z rąk jego i ciężko upadało na kamienną podłogę z ponurym odgłosem. Nakoniec po wielu bezużytecznych wysileniach które trwały więcéj niż kwandrans, udało mu się wziąść Małgorzatę na ręce i zgięty pod tym ciężarem dochodził już do komna-

ty swéj żony, kiedy nagle znalazł się o dwa kroki od swego kuma Memlink. Na widok niespodziany swego gościa, Aldovrand raz jeszcze upuścił Małgorzatą która pozostała na ziemi bez ruchu z rozpuszczonemi włosami podobna do trupa. Memlink spoglądał na przemian na ten smutny obraz i na starca którego pomieszanie zmieniło rysy, potém nachylił się nad nieszczęśliwą kobiétą, położył rękę na jéj sercu, śledził oddechu kładąc przed ustami jéj błyszczący pierścień i przekonał się że jeszcze żyje. Nie mówiąc ani słowa, podniósł bez trudności ten ciężar, pod którym upadał Aldorvand, i złożył go na łożu w przyległym pokoju potém wziął się do środków ratunku nie zważając na starca, który zdawał się pozbawionym władzy fizycznéj i moralnéj. Po kilku minutach lekkie westchnienie wyrwało się z piersi Małgorzaty, Memlink wziął piszczałkę która wisiała u jéj pasa i gwizdnął tak silnie że cały dom napełnił się tym odgłosem. Wkilka chwil potém dwie kobiety na pół ubrane i przestraszone, przybiegły do łoża pani.

— Niech jedna rozpuści związania ubioru pani, rzekł Memlink poważnym tonem lekarza,

a druga tymczasem niech przygotuje łóżko; potém położycie panią i dacie nam znać jak wszystko będzie gotowe.

Kobiety pospieszyły z wykonaniem tych rozkazów i za kilka chwil Aldovrand i Memlink weszli napowrót do pokoju słabéj. Drugie westchnienie wyszło z ust Małgorzaty, która wysiliła się aby wymówić:

— Antoni! Antoni!

Potém wpośród konwulsyjnego wstrząśnienia podniosła się na łóżku, spojrzała na swego męża wyciągnęła do niego ręce i zawołała.

— Nie rozłączaj mię z nim! i znowu padła zemdlona.

Memlink dał znak starcowi aby odszedł, przepisał kobietom co mają czynić aby otrzeźwić swoję panią i poszedł za Aldovrandem do przyległego pokoju.

— Kochany kumie, rzekł, chociaż nie należy do mnie mięszać się do waszych spraw domowych, czy nie chciałbyś mi powiedzieć jaka jest przyczyna tak smutnego wypadku? Pomyśl, że jeśli raz jeszcze wystawisz twoję żonę na podobne

przesilenie, będzie to dla niéj nieochybnie śmiertelnym ciosem.

— A jednak, odpowiedział Aldovrand tonem nieugiętym, powinna uledz, musi być posłuszną.

— Czegóż wymagasz od niéj?

— Od niéj nic, ale od mego syna: chcę aby pojechał do Lewantu, aby się nauczył tamtejszego języka i obeznał z interesami handlowemi, słowem aby się stał zdolnym kupcem i aby mi mógł pomagać późniéj w moich zatrudnieniach handlowych, a kiedyś zastąpić mię zupełnie.

— Jestże to zamysł rozsądny? Gorączki zbyt często śmiertelne panują w Lewancie, twój syn słaby,padłby bezwątpienia ich ofiarą;a matka jego jeśli nie może znieść jego odjazdu, czyliż smierć jego zniesie? A więc dla małych korzyści handlowych wystawiasz się na zerwanie wszystkich węzłów rodzinnych tu na ziemi.

— Podobne rozumowanie łatwém jest temu, kto jak wy liczy na sta beczki złota; ale ja...

— Oh, mistrzu Aldovrandzie, odparł Memlink z wyrazem ironji, w waszym wieku beczki złota nie mogą iść w porównanie z boleścią, a może i śmiércią żony i dziecka. Posłuchaj jednak

Twój syn ma jeszcze inne drogi do szczęścia, równie pewne a mniéj niebezpieczne jak handel. Otrzymał on od nieba rzadki dar potrzebny do pomyślnego postępu na téj saméj drodze, na któréj mię umieściła ręka Boga. Od lat szesnatu jak was znam, nie pytaliście mię nigdy o źródła mego majątku, poprzestając na przyjmowaniu beczek złota które wam przysyłałem, abyście je włożyli w wasz handel. Ponieważ ciągle bawię w podróżach zdala od Bruges, moi zacni ziomkowie, zajęci handlem wełny i sukna, nie wiedzą że jestem urodzony w ich mieście, że na całym świecie używam wielkiéj sławy, i że książe Burgundji, Król Francji i nasz święty Ojciec, ubiegają się, który z nich zatrzyma mię przy swoim dworze. Jedno tylko moje rodzinne miasto okazuje dla mnie zupełną obojętność, bo mię nie zna... Ale słyszę głos twojéj żony, która wraca do zmysłów. Zgódźmy się prędko. Nie mam dzieci, znasz część mego majątku, a ta część któréj nie znasz, warta więcéj niż drugie tyle. Zrzecz się twego zamiaru względem Antoniego, a ja zostawię mu cały mój majątek, na który nie długo będzie cze-

kał: ponieważ ja już mam lat sześćdziesiąt przynajmniéj.

— Przyjmuję, odpowiedział Aldovrand zmięszany tą ofiarą, równie świetną jak niespodzianą.

— Pójdźmy upokoić twoję żonę.

I weszli do komnaty gdzie Małgorzata powtarzała jakby w obłąkaniu:

— Oh zostawcie mi go, zostawcie!

— Tak jest, zostawiemy ci go! rzekł Memlink biorąc zimną rękę Małgorzaty, Antoni nie oddali się od swéj matki, będzie tylko mieszkał u mnie, gdzie będziesz mogła widziéć go i uścisnąć ile razy zechcesz.

Małgorzata utkwiła wzrok w obliczu swego męża, aby w niém wyczytać potwierdzenie słów przyjaciela, które tak słodko padały na jéj serce. Aldovrand skinął głową potwierdzając.

Radość o mało nie stała się równie szkodliwą dla Małgorzaty jak zbytek boleści, resztę nocy spędzono na staraniach jakich jéj stan wymagał. Słońce już wschodziło kiedy starcy mogli dopiero odejść do swych sypialnych komnet. Memlink wkrótce zasnął twardo, ale ku-

piec sukna, po nadaremnych usiłowaniach przywołania snu, wstał i poszedł do magazynów i warsztatów, gdzie twarz jego bledsza niż zwykle i bardziéj ponura, rozsiewała trwogę i milczenie.

III.

HISTORJA MALARZA.

Około południa, Aldovrand ujrzał swego gościa, który rzekł zbliżając się do niego:

— Małgorzata już jest zupełnie zdrową, mój syn chrzestny jest przy niéj, a za chwilę dzwonek wezwie nas do stołu, pójdźcie ze mną.

Wziął pod rękę kupca i zaprowadził go do środka domu. Serce starca biło coraz żywiéj, w miarę jak zbliżał się do téj z którą wczoraj obszedł się tak okrutnie, a Małgorzata z swojéj strony nie mniéj czuła się wzruszoną. Blada, biało ubrana, siedząc w wielkiém dębowém krześle, nosiła jeszcze w twarzy ślady wczorajszych cierpień; szeroka sina plama rozciągała się na jedném jéj ramieniu, które nie ze wszystkiém zakrywał szeroki rękaw jéj sukni. Zadrżała na widok swego męża, a on tonem nieokrzesanym który usiłował być łagodnym, zapytał się niezręcznie o jéj zdrowie. Małgorzata wymówiła niezrozumiałą odpowiedź, a Memlink przerwał ich pomięszanie, dając znak Antoniemu aby zmówił *Benedicite.*

Antoni uczynił to, siedli do stołu, ale prawie nikt nie jadł, wyjąwszy mistrza Memlinka którego apetyt miał coś nadnaturalnego. Podczas gdy oddawał się przyjemnościom biesiady, nie zważał na nic co się wkoło niego działo. Ale nakoniec musiał przestać, zaspokoiwszy żarłoczny prawie apetyt, wrócił do życia rzeczywistego, wychylił dużą czarę wina i obracając się do Małgorzaty:

— Tak więc, rzekł, Antoni ma zostać moim synem, moim dziedzicem i moim uczniem; zostanie tém czém ja byłem i jestem, — malarzem!

— Malarzem?

— Czy rzemiosło w którém można zarobić tysiąc beczek złota przez lat trzydzieści nie jest warte tyle co handel suknem, mówił daléj Memlink. Tak szanowny kumie, szkice rysunków które zobaczyłem przypadkiem w tece mego chrzestnego syna, odkryły mi w nim zadziwiające usposobienie do téj sztuki; chcę przeto aby Antoni, ponieważ niebo nie dało mi syna, został zarazem dziedzicem mojéj chwały i mego mienia.

Słuchaj, mój chłopcze, mówił daléj przyciągając dziécię do siebie, i sadzając je na swoich kolanach, bo tak drobną była postać młodego Antoniego,że nie można było nie uważać go za dziécię, chociaż już miał lat pietnaście; słuchaj, opowiem ci moję historję: dowiesz się jakie cię próby czekają, i jakie nagródy uwieńczą twoję pracę i wytrwałość.

„ Jest temu lat pięćdziesiąt, jak młody człowiek, przyszedł do miastu Bruges, poraniony,

trawiony gorączką, wpół nagi, bez obuwia, w stanie nędzy zdolnéj wzruszyć żelazne serce. Nie mając ani odwagi do rabunku, ani siły do męczenia biednych wieśniaków, aby im wydrzeć kilka talarów zakopanych gdzie w głębi ogrodu, nie miał nic, i widział się pośmiewiskiem swoich towarzyszy. Nie dość cierpliwy aby to znosić, na drwinki towarzyszy odpowiadał kułakiem, ale zadawszy kilka porządnych razów, otrzymał tak potężne uderzenie w piersi, że upadł na gościńcu, bliski skonu. Przypadkiem przechodziła tamtędy stara kobieta, ulitowała się nad biednym żołnierzem, z wielkim trudem zdołała go zawlec aż do swojéj chatki i tam jak mogła opatrzyła jego bliżny. Nie umarł więc, ale stan jego nie o wiele był lepszy, bo rana zaogniła się, gwałtowna gorączka przystąpiła, wzmogła się, i nakoniec odjęła zmysły choremu. Biédna kobiéta nie wiedząc już co czynić aby ratować umierającego który rzucał się w paroxyzmach maligny, udała się do przełożonéj szpitalu i prosiła ją aby posłała do niéj ludzi, żeby zabrali chrześcianina który znajduje się u niéj słaby i bez pomocy. Dobra zakonnica Świętego

Jana nie wachała się. Dwaj posługacze chorych udali się natychmiast z wygodnemi noszami, i konający młodzieniec podniesiony z zbótwiałéj słomy na któréj od miesiąca spoczywał, został umiesaczony na wygodném łóżku, i otoczony tkliwemi staraniami i pomocą. Kapłan siedzący w nogach jego łóżka mówił mu o niebie i dopomagał mu znosić przykrości i cierpienia ziemskie, pokazując mu Chrystusa przybitego do krzyża; dobre siostry z swemi słodkiemi głosami i tkliwemi staraniami, odejmowały że tak powiem boleści, jéj najprzykrzéjsze ciernie, tak dalece, że żołnierz, dzięki tym staraniom i pociechom, ujrzał zmniéjszenie swojéj ciężkiéj słabości, i zwolna zbliżające się zdrowie. Ale po tak silném wstrzęśnieniu zdrowie powoli powraca: czas wyzdrowienia wymaga tyle ostrożności i przedstawia tyle niebezpieczeństwa, ile sama słabość. Podczas pierwszych tygodni, żołnierz nie opuszczał wcale swego łóżka, chyba dla odetchnienia swieżém powietrzem i ogrzania się przez kiika minut na słońcu, wkrótce potém powracał pod ciepłe kołdry, któremi okrywała go ręka miłosiernéj siostry tak jakby to czyniła matka dla swego dziecięcia. Potém nadchodziły

dłań długie godziny, podczas których przypominał sobie błędy swojéj młodości i uznawał sprawiedliwość Boga który mu kazał za nie pokutować.

W istocie, młodzieniec ten wiele miał sobie do wyrzucenia. Był on synem rzeźnika, który ciągle dawał mu dowody najtkliwszego przywiązania, a matka jego, przez zbyteczną czułość dogadzała wszystkim jego kaprysom, tak iż stał się porywczym, nieuległym, leniwym, i że zaczął prowadzić życie nieporządne i błędne, w czém uwagi ojca i łzy matki nie zdołały go zatrzymać. Cały swój czas trawił na próżnowaniu; zamiast korzystać z nauki mistrza Rogers, i ćwiczyć się w sztuce malarskiéj, któréj zaczął się uczyć pomimo chęci ojca, który byłby wolał widzieć go swoim następcą w korzystném i zaszczytném rzemiośle rzeźniczém. Ale młody człowiek nie mógł znieść zapachu szlachtuza, i zbyt wiele miał korzyści z pozornegu uczęszczania do pracowni malarza; bo chociaż ta nie bardzo była odległą od domu jego ojca, nasz rozpustnik umiał drogę swoję tak prowadzić, że niekiedy przez cały dzień nie zaszedł do miejsca swego zatrudnienia; słowem na niczém trwo-

nił godziny, które powinien był gorliwie poświęcić ćwiczeniu się w robieniu pędzlem. Tém winniejszą była ta niechęć do pracy, że w pierwszych zaraz początkach objawiło się w nim znakomite usposobienie do malarstwa, i dla tego mimo złego prowadzenia się i próżniactwa ucznia, stary malarz Rogers nie miał odwagi oddalić go, w nadziei że poprawi się i będzie kiedyś zaszczytem pięknéj sztuki, któréj patronem jest święty Łukasz.

Ośmielony łagodnością nauczyciela i słabością matki, która drżała na samą myśl odkrycia mężowi jak niegodne życie syn jéj prowadzi, Jaus (tak się zwał ten młody człowiek,) obrał sobie za główny punkt spędzenia czasu karczmę i pijaństwo dołączyło się do innych jego przymiotów. Pewnego poranku wrócił do domu bez zmysłów, w sukniach porozdzieranych, z głową dobrze zalaną, i nogami chwiejącemi się. W ten sposób przechodził przez podwórze prowadzące do pokoju w którym mieszkał. Ojciec jego dzięki usiłowaniom matki w ukryciu błędów syna, nie wiedział nic o jego rospuście, sądźcie zatém o jego zadziwieniu, o jego gniewie, kiedy ujrzał w podobnym stanie wra-

cającego syna, o ktorym sądził że przykładnie w domu noc przepędził. Z gniewném obliczem przystąpił do młodego rozpustnika, który ujrzawszy go chciał zwinąć choręgiewkę, uchwycił go za rękę, i rozpoczęła się między niemi walka w któréj płaszcz młodego Jansa trzymany przez ojca rozdarł się, a nieszczęśliwy starzec padł na wznak i roztrzaskał głowę o kamienie.

Oh, okropny to był widok! Pomimo pięćdziesięciu lat które od tego czasu upłynęły, wstrząsa się jeszcze dusza winnego na samo wspomnienie śmierci ojca.

Memlink zakrył twarz rękami i dopiero po chwili mówił daléj:

Bóg nie na tém ograniczył ukaranie młodego rozpustnika. Matka jego nadbiegła na krzyki przerażenia które się wydarły z jego piersi. Na widok martwych zwłok męża, zmysły jéj pomięszały się i w kilka tygodni umarła... Cóż wam powiem? Zostawszy sierotą, dręczony okropną myślą że stał się przyczyną śmierci ojca i matki, Jans bardziéj niż kiedy rzucił się w nieporządne życie, szukając w napoju zapo-

mnienia dręczących go wypadków. W rok późniéj nie zostało mu ani jednego szeląga z dziedzictwa po ojcu i policja rozkazała mu oddalić się z miasta, które plamił swoją wyuzdaną rozpustą.

Cóż miał przedsiewziąć, czego się chwycić. Banda nieregularnego wojska przechodziła właśnie wtenczas, kiedy wyszedł z miasta nic mając ani chleba ani pieniędzy za które mogłby go kupić. Jans, bez wachania został żołnienierzem. Jakiż to był stan w tym wieku nieporządku i wojny. Łupić, rabować, podpalać, mordować, być świadkiem jeśli nie wspólnikiem wszelkiego rodzaju zbrodni; wystawiać swoje życie za rozkazem grubijańskiego dowódcy, który nie zna innego sposobu zjednania sobie posłuszeństwa, jak płazy, oto był los Jansa przez trzy lata. Wiecie resztę; został raniony w bitwie z swemi towarzyszami, zostawiony na środku drogi, znaleziony przez ubogę kobiétę, od któréj potém dostał się do szpitala świętego Jana.

Podczas długiego i powolnego wyzdrowienia, Bóg raczył zasiać w sercu Jansa ziarno skru-

chy, żalu i cnoty, do któréj nakłaniały go napomnienia i przykłady siostr szpitalnych. Widział śmierć tak zbliska, że zdawało się jakby umarł i zmartwychstał do innego życia, i poprzysiągł Bogu i Najświętszéj pannie, być odtąd tak dobrym chrześcijanem, ták uczciwym człowiekiem, jak był dotąd występnym.

Uradowane z jego nawrócenia zakonnice, podwajały tkliwych starań około niego, a Jans aby im swoję wdzięczność okazać, postanowił wrócić do dawnego zatrudnienia malarza, i wymalować do kaplicy szpitalnéj obraz, którego kupić od sławniéjszego jakiego malarza, nie były wstanie ubogie zakonnice. Objawił im ten swój zamiar, a one chociaż nie wiele spodziewały się po talencie żołnierza, dostarczyły mu jednak czego żądał, to jest farb, pędzli, płótna, stalug i t. p. Jans oddał się pracy w odosobnionym pokoiku szpitala, usiłując ile możności przypomnić sobie nauki mistrza Rogers. Kilka miesięcy upłynęło, i nadeszła uroczystość swiąt wielkanocnych, Jans ukończył już obraz, ale znudzony, zniechęcony, z całego serca byłby go wrzucił w ogień gdyby się nie obawiał wyrzutów że zniszczył bezpożytecznie dane mu ma-

terjały. Słaby opuścił miejsce które obrał sobie za pracownię i wpadł w gorączkę prawie rozpaczną, bo przekonanie o braku talentu i nie zdolności do pracy, którą tak płocho i chełpliwie przedsiewziął, przytłaczało go poniżeniem i smutkiem.

Tymczasem sławny Jan Van Eyck, wynalazca malowania olejnego, będąc w Bruges, gdzie przywiózł obraz zamówiony przez hrabiego Flandrji, podług zwyczaju osób wyższego stopnia udał się w wielki Czwartek do szpitala świętego Jana, dla dopełnienia pobożnych obrządków usługiwania ubogim przy wieczerzy i umycia im nóg. Przypadkiem przechodził koło pracowni Jansa i zobaczywszy na ziemi pędzle i farby, otworzył drzwi które były uchylone i zobaczył obraz.

Obraz ten złożony z trzech skrzydeł, wystawiał na środkowéj części hołd trzech króli, na lewéj stronie oczyszczenie N. Panny, na prawéj Chrystusa spoczywającego w stajni Betlejem; na tym obrazie Jans wymalował siebie w ubraniu szpitalnym zaglądającego przez okienko stajni.

Jan Van Eyck zadziwiony długo w milczeniu spoglądał na to malowidło.

— Kto to malował? zapytał nadchodzącéj zakonnicy.

— To jest, odpowiedziała dobra siostra wzruszając ramionami, biedny chory, o którego wyleczeniu bardzo wątpiemy, i który dla przepędzenia czasu maluje jak umie. Wreszcie czyni on to w dobrym celu, wie bowiem że nie mamy za co sprawić obrazu do wielkiego ołtarza, i dla tego chciał go nam wymalować, ale zdaje się że to nie najlepiéj mu się udało.

— Gdzież jest ten człowiek? przerwał Van Eyck.

— Tam w końcu téj sali! Leży w gorączce, jak się zdaje z smutku że przedsiewzięcie jego nie lepiéj się udało.

Van Eyck przybliżył się do Jansa i odkrył przed nim głowę.

— Bracie, rzekł, niech będzie pochwaloną Najświętsza panna i święty Łukasz nasz święty patron, bo ty jesteś wielkim malarzem.

Jans patrzył osłupiały, jakby błędny, i bał się czy to nie jest sen.

— Tak, mówił daléj szlachetny Van Eyck, tak, szczęście i sława czekają cię! Wstań więc, wyjdź jak Łazarz z grobu ubóstwa, aby się obudzić do bogactwa i szczęścia. Potrzebujesz pieniędzy, oto są: oddasz mi je z zapłaty za pierwszy obraz który wymalujesz, bo ten który widziałem, jest jak słyszę podarunkiem dla tutejszego klasztoru.

Jans wstał, poszedł za Van Eyckiem: został przedstawiony hrabiemu Flandrji, Filipowi dobremu, zamieszkał w Gand w pałacu książęcym, zarobił wiele złota, podróżował, wszędzie był przyjmowany jakby był wielkim i możnym panem, i nakoniec zebrał beczki złota które włożył w wasz handel mistrzu Aldovrandzie, bo Jans, biedny żołniérz i sławny malarz, to ja jestem. Chceszże teraz, powiedz, chceszże aby twój syn został moim uczniem, zamieszkał ze mną w Gand i kiedyś odziedziczył mój majątek, a jak mam niepłonną nadzieję, i moją sławę? Bo szkice które widziałem wróżą w nim powołanie malarza. Łatwo jest poznać, że święty Łu-

kaz natchnął to dziécię świętym ogniem swéj sztuki. Tak jest, mam nadzieję że kiedyś całe chrześcijaństwo znać będzie imie malarza Aldovranda, jak teraz zna moje imie.

Małgorzata wyciągnęła ku niemu swoję białą delikatną rękę a Memlink ucałowął ją z czułością. Stary kupiec był zamyślony i nakoniec rzekł prawie opryskliwie.

— Macie moje słowo, niech jedzie z wami.

Łza potoczyła się po bladych licach biednéj matki i poruszyła się jak gdyby chciała pobiedz ku swemu synowi. Mmelink zrozumiał dobrze co się działo w sercu Małgorzaty i rzekł:

— Dobrze, jutro więc wszystko troje puściemy się w drogę.

— Troje? zapytał kupiec.

— Tak jest. Zona wasza, potrzebną jest aby umieścić u mnie Antoniego. A prócz tego dziécię nie powinno tak nagle rozstawać się z rodzinném miastem i z matką, — a kiedy Aldovrand wachał się, Memlink mówił daléj: Prócz tego potrzeba kogoś zaufanego któryby wam przywiózł odemnie umowę zpisaną na pargaminie, stanowiącę współkę naszą w korzy-

stnym handlu z Lewantem, o któréj mówiliśmy z rana.

Tym sposobem brzęcząc złotem przy uszach Aldovranda, Memlink usunął wszelkie trudności i nazajutrz matka i syn udali się z nim o świcie w drogę do Gand.

IV.

BIEDNY DUCHOWNY.

W miarę jak muły na których jechali, oddalały się od Bruges, Antoni i jego matka czuli jak wielki ciężar tłoczący ich piersi co raz lżéjszym się stawał. Wyobraźnia ich jak ptaszek który uciekł z więżącéj go klatki, oddawała się wesołemu polotowi, przebywała szybko prze-

strzeń między ziemią i niebem zatrzymywała się i znowu rzucała, spiewała i ogrzewała swoje skrzydła przy ożywczém świetle swobody. Małgorzata od dnia ślubu nigdy jeszcze nie opuściła męża, a Antoni od urodzenia nie oddalał się z domu rodzicielskiego. A teraz oboje wyrwali się z smutnego i surowego jarzma! i obok łagodnego i tkliwego przyjaciela przebiegają pola z sercem przepełnioném radością. W ten sposób przebyli już trzy lub cztery mile, widząc płochą wesołość Antoniego; obcy nie byłby w nim poznał słabowitego dziécięcia, które niestety nie bez przyczyny, było dla matki ciągłym przedmiotem obawy o jego zdrowie. Ale bardziéj jeszcze zmienioną była Małgorzata; swobodna wesołość wróciła jéj swieżość i piękność młodości! Lekkie wzruszenie pokryło szkarłatem jéj lica zwykle blade; prowadziła swego muła z dumą i bawiła się przymuszając go uderzeniem pejcza do zręcznych skoków, albo naprzemian wstrzymując go twardém wędzidłem. To z rozpuszczonemi włosami puszczała się śmiało galopem, to znów zatrzymywała się nagle i z uśmiechem wracała do starego malarza i Antoniego, który chciałby był naśladować igrasz-

ki swéj matki, ale nie ufając swojéj zręczności w prowadzeniu wierzchowca, wstrzymywał się od tego, a ona znowu śmiało puszczała się naprzód.

Raz oddaliliwszy się w ten sposób, spuściła się długą pochyłością wzgórza które ją zakryło przed wzrokiem towarzyszy, ci spodziewali się że ją wkrótce zobaczą wracającą, ale gdy długo nie było jéj widać, niespokojni przyspieszyli kroku, w obawie czy się jéj jaki przypadek nie zdarzył. Antoni czuł już łzy w oczach, a mistrz Memlink nie okazając Antoniemu co się działo w sercu jego, żywo niepokoił się o los jego matki. Po pół godziny przyspieszonego biegu ujrzeli nakoniec pod drzewem Małgorzatę, i w oddaleniu zdawało im się że siadła dla spocznienia. Ale w miarę zbliżenia. się spostrzegli że nie była samą; pochylona nad człowiekiem leżącym na ziemi zdawała się zajętą przywołaniem go do zmysłów. Przybywszy na to miejsce ujrzeli młodego człowieka w ubiorze stanu duchownego który otworzywszy oczy spojrzał w około z obłąkaniem, potém usiadł i z lekka odsunął rękę niosącą mu pomoc.

— Dziękuję za wasze starania, rzekł —dzięku-

kuję; są one więcéj szkodliwe niż pożyteczne, bo w mojéj nędzy stokroć lepiéj byłoby gdybym umarł.

— Tak młody, podobnie myśleć, wątpić o opatrzności! zawołał Memlink, to źle, młodzieńcze! słowa twoje niegodne są sukni które nosisz..

— Wycieńczenie fizyczne osłabia władze duszy rzekł młody duchowny, a ja od trzech dni nic nie jadłem.

— Hola, do mnie! zawołał Memlink na służących którzy jechali w tyle. Rozwiążcie zapasy i przynieście jedzenie dla tego młodzieńca Dajcie mu co macie najpożywniéjszego. Szeroki zraz szynki z dzika i butelkę wina reńskiego.

— To byłby niechybny sposób zabicia tego młodzieńca, przerwała Małgorzata, podając słabemu cienko ukrojony kawałek chleba, na którym błyszczały jak złoto delikatne konfitury z owoców! To będzie lepsze dla żołądka osłabionego niż szynka z dzika.

Młody duchowny z razu niechętnie prawie przyjmował podawane mu pożywienie, ale wkrótce wprawiony w ruch żołądek uczuł dobroczynne działać pokarmu i jego potrzebę.

— Dość już na teraz, rzekła Małgorzata, z uśmiechem, który do reszty pozyskał dla niéj serce młodego człowieka, teraz siądź na muła jednego z naszych domowników, i pojedź z nami do Gand: tam pomówiemy o twojém położeniu i namyślemy się nad środkami pomocy jakiéj możesz potrzebować.

Duchowny podziękował swojéj dobrodziéjce, siadł na podanego muła i karawana puściła się drogą do Gand, gdzie bez żadnego już wypadku przybyła przed nocą.

Nazajutrz z rana, kiedy wszyscy zeszli się na śniadanie w obszernéj sali zdobnéj rzeźbą z drzewa dębowego, które we wszystkich domach używane było do przyozdabiania sal jadalnych, przyszedł i młody duchowny; dzięki staranności gospodarza znalazł on w miejsce podartéj odzieży którą nosił dniem pierwéj, czystą nowę sutannę, i tak przyzwoicie ubrany, z włosami starannie ułożonemi, wypocząwszy wygodnie po kilkodniowych cierpieniach i trudach, nie był to już wczorajszy nędzarz umierający z głodu, ale przyjemny młodzieniec którego postać i o-

blicze wyrażały łagodność i rozsądek. Nim wsiadł do stołu, na prożbę gospodarza, zmówił *Benedicite* i z apetytem dwudziesto letniego młodzieńca wziął się do pobłogosławionych potraw.

Po śniadaniu wszyscy zasiedli przed kominem i młody kapłan podziękowawszy czule swoim dobroczyńcom, opowiedział im przez jakie następstwo zupełnie naturalnych wypadków znalazł się w stanie, w jakim go wczoraj spotkali.

Był on synem stolarza z Utrechtu, który oprócz niego liczył jeszcze trzynaścioro dzieci i nazywał się Florentyn Boyers. Adrjan był najmłodszym w téj licznéj rodzinie i nim doszedł lat dwunastu, widział śmierć swego ojca i matki; krewni i przyjaciele przez litość pobrali do siebie pozostałe dzieci, a Adrjan dostał się staréj kobiecie, jego ciotce która mieszkała w Louvain i trudniła sie praniem bielizny dla tamtejszego zakładu dobroczynnego w którym bezpłatnie żywiono ubogich uczni. Aby dla swego siostrzeńca wyjednać miejsce w tym zakładzie, nauczyła go tyle ile sama umiała czytać i pisać, poczém dziécię dzięki protekcji brata furt-

jana zostało przyjętém do tego domu. Adrjan wkrótce okazał zdolność do nauki i po kilku latach tak świetne uczynił postępy w teologji i filozofji, że przełożony zakładu wyjednał u Marji Angielskiéj, siostry Edwarda IV i wdowy po księciu burgundzkim Karolu zuchwałym, potrzebną summę na opłacenie patentu doktora dla młodego Adrjana. Ale na tém ograniczyły się dobrodziejstwa księżnéj, i młody doktor teologji i filozofji, w skutku jakiegoś pęzestępstwa przeciw ustawom religijnym zakonu, widział się zmuszonym opuścić klasztor, gdzie spodziewał się wkrótce zostać nauczycielem. Bez chleba, bez przytułku i środków pomocy, wyszedłszy z klasztoru, przypadkiem puścił się drogą do Gand, i byłby umarł z głodu i zimna, gdyby opatrzność nie sprowadziła do niego szlachetnéj Małgorzaty.

Nie mówiąc nic nikomu, Memlink posłał do Louvain gdzie miał wielu przyjaciół, aby zasięgnąć niejakich wiadomości względem młodego kapłana, w zamiarze wstawienia się jeśliby otrzymane wiadomości przemawiały za nim, do księcia Filipa i ułatwienia mu sposobności użytkowania z nauki i tytułu doktora.

W kilka dni nadeszły wiadomości, bardzo pochlebne dla młodego kapłana,— ale nim daléj postąpiemy w téj historji, musiemy wrócić się do Bruges, gdzie mistrz Aldovrand pozostał po odjeździe żony i syna.

V

ŚMIERĆ.

Widzieliśmy, że wiek, zatrudnienie sprawami handlu, twardy charakter i brak prawie zupełny edukacji, mało zostawiły czułości w sercu starego Aldovranda, nawet dla żony i syna. Jednakże, skoro te dwie osoby, które czynił tak nieszczęśliwemi, oddaliły się od niego, uczuł niezmierną próżnię

do koła i zdawało mu się że mu całego świata brakuje. Zwykle widywał żonę i dziecię zaledwie przez dwie godziny codziennie, w czasie obiadu, teraz kiedy odjechali, czuł ich nieobecność przez cały dzień i niewiele brakowało żeby był posłał gońca z rozkazem powrotu, syna którego dniem pierwéj zniebezpieczeństwem dla jego życia chciał wysłać do Lewantu, i żony z którą się tak barbarzyńsko obszedł. Z tego wynikło, iż stał się gniewliwszym niż kiedykolwiek. Jego domownicy doświadczali skutków złego humoru pana, i w całym domu słyszano tylko ostry i groźny głos starca i złorzeczenia sług.

Pewnego dnia kiedy sukna nie mogące się pomieścić na obszernych podwórzach fabryki rozwieszono dla suszenia na placu przed domem Aldovranda nad rzeką, przypadkiem przechodzili tamtędy żołnierze księcia Filipa i czynili sobie igraszkę, przewracając w przechodzie podpórki od sznurów, przez co sukno upadało na ziemię i walało się. Robotnicy i słudzy pilnujący sukna, poprzestali na przeklinaniu niegodziwców którzy bawić się chcieli cudzą szkodą i wzięli się do podniesienia przewróconych podpórek, kiedy nagle ukazał się w drzwiach domu Aldovrand. Na widok nieporządku sprawione-

go przez żołnierzy, puścił wodze gwałtownego gniewu, wyrzucał robotnikom tchórzostwo i nie wachał się obraźliwie mówić o księciu którego niesforni żołnierze dopuścili się tak niegodziwéj swawoli.

Gniewne słowa pana wzburzyły robotników i nadchodzący drugi oddział żołnierzy został przywitany gradém kamieni; żołdactwo zapaliło lonty od ręcznéj broni, kilkadziesiąt strzałów trupem położyło kilku z domowników Aldovranda i on sam ugodzony kulą padł bez życia na progu swego domu. Rozruch coraz większy i napływ mieszkańców zmusił żołnierzy do odwrotu, ale chciwi zemsty za śmierć swoich braci mieszczanie, nie poprzestali walki aż wszystkich żołnierzy zmusili do opuszczenia miasta nie bez znacznéj z obu stron straty w poległych i rannych. W kilka tygodni po tém książe Filip podstąpił pod miasto zagroził szturmem i zniszczeniem, a mieszkańcy otworzyli mu bramy, błagali o przebaczenie i okupili je 200 beczkami złota.

IV.

POWRÓT DO GAND.

Wypadki które opisaliśmy nastąpiły po sobie z taką szybkością, że Małgorzata Antoni i Memlink którzy na zajutrz po przybyciu do Gaud, wyjechali na mieszkanie do małéj wioski Damme gdzie była pracownia malarza, dowiedzieli

się razem o śmierci starego Aldovranda i poddaniu się miasta księciu Filipowi. Małgorzata szczerze opłakiwała zgon tego, przy którym tyle lat przepędziła, i który był ojcem jéj dziecięcia. Kiedy anioł śmierci uderzy kogo, zapominamy o jego błędach, a przypominamy sobie jego zalety; Antoni nie mniéj był dotknięty śmiercią swego ojca, przez tydzień Małgorzata i jéj syn pozostali zamknięci w zupełném odosobnieniu. Po upływie tego czasu na usilne prośby malarza, skłonili się wrócić do zwykłego trybu życia obok niego. Małgorzata podług zwyczaju krajowego, obcięła piękne swe włosy. Ubrana czarno, który to kolor był już dla niéj jedynym aż do śmierci, zakryła twarz, czoło i ramiona grubemi zasłonami i przez trzy mieśiące przed jedzeniem w miejsce *Benedicite* gospodarz odmawiał De Profundis, jak uczył dawny pobożny zwyczaj we Flandrji.

Zwolna wszystko wróciło do zwykłego porządku, a rodzina starego Aldovranda zamieszkała przy mistrzu Memlink, ponieważ własność ich ojca i męża, który stał się ofiarą opisanych w poprzednim rożdziale wypadków, została na

skarb zabraną, a wdowie jego i synowi nie pozostało nic prócz majątku ich przyjaciela Memlink i tak znacznie uszkodzonego przez upadek i śmierć tego, u którego część jego bogactwa była złożoną. Ale Memlink zniósł tę stratę z zupełną spokojnością i nie chciał nawet żeby wdowa Aldovranda dowiedziała się, że już nic nie posiada na ziemi i że przyjaźni chrzestnego ojca jéj dziecięcia, winna jest przytułek i zasłonę od niedostatku.

Pięć lat wśród pokoju i pracy nastąpiło po tylu wstręśnieniach burzach i gwałtownych zmianach. Memlink użył ich na odkrycie Antoniemu tajemnic sztuki malarskiéj, Adrjan na naukę teologji, a Małgorzata na pieczołowite starania około domu. Dzięki jéj czynnemu gorliwemu zarządowi, dochody mistrza Memlink potroiły się; bo znikł mały nieporządek i rozliczne niepotrzebne wydatki, jakie zwykle ciężą na gospodarstwie bezżennych.

Antoni wkrótce namiętnie pokochał sztukę, którą mu odsłaniał jego opiekun, i pracował z takim zapałem, że dobry Memlink widział się niekiedy w potrzebie umiarkowania pracy, mogącéj szkodzić zdrowiu młodzieńca. Nie licząc za-

jęcia w pracowni malarskiéj, Antoni cztery godziny poświęcał codziennie nauce chemji potrzebnéj w tedy do osiągnienia w tworzeniu kolorów, i sposobach użycia ich, doskonałości, która stała się konieczną przez wynalazek braci Van Eyck, którego oni jednak nikomu nie odkryli. Memlink uczestniczył we wszystkich doświadczeniach młodzieńca, i miał udział w odkryciu zadziwiających mięszanin, tworzących farby Aldovranda, tak sławne przez swoję świetność i trwałość. Nakoniec Memlink uczuł tyle zdolności w swoim uczniu, że pozwolił mu przedstawić swoje prace publicznie. Wszyscy czworo za tém opuścili wioskę Damme gdzie tak długo żyli samotnie i udali się do Gand dokąd przybyli w roku 1500 dnia 11 Lutego. Memlink naiął dom, ozdobił go swemi i Antoniego obrazami, który pódług ówczesnego zwyczaju podpisywał na swoich pracach po łacinie: Antonius Aldovrandus,

Podczas gdy Memlink z swoim przybranym synem zajmowali się urządzeniem wewnętrznem nowego mieszkania, Adrjan przechadzał się po ulicach, zatrzymując się przed każdym gmachem którego budowa zasługiwała na uwagę i w zamy-

śleniu nie zważał którędy szedł, tak iż na koniec zupełnie zabłądził. Nieśmiały i trwożny, nie mógł się odważyć zapytać kogo z przechodzących o drogę, i na koniec na nieby mu się to nie zdało; ponieważ zapomniał zupełnie nazwiska ulicy, na któréj znajdował się dom najęty przez mistrza Memlink. Szedł więc ciągle nie wiedząc gdzie, doznając przykrych uczuć głodu i zimna. Ale bardziéj jeszcze dręczyła go niespokojność, jakiéj doznawać musieli jego przyjaciele, nie widząc go wracającego. Już słyszał wszystkie godziny wie czorne aż do dziewiątéj. W téj chwili dzwony wszystkich kościołów i gmachwów publicznych głosiły, że już czas spoczynku. Zimny pot spłynął po twarzy Adrjana, który ujrzawszy w odległości wielkie światło zniczął spiesznym krokiem dążyć ku niemu. Znalazł się w pośród obszernego dziedzieńca w bliskości placu targowego, pomiędzy mnóstwem ludzi zbrojnych, dworzan i paziów. Na widok Adrjana ubranego w szaty kapłańskie, odezwały się wokoło odgłosy radości.

To on! to on! Bóg go nam nakoniec sprowadza! i dwie kobiety przybiegły i wzięły go

za ręce, poprowadziły po schodach przez różne ciemne galerje i zatrzymały się w ciasnym niewygodnym gabinecie, w którym znajdowała się kobieta wspaniale ubrana i nowo narodzone dziécię. Obok téj damy która zdawała się umierającą, klęczał młody człowiek nadzwyczajnéj piękności, i płakał trzymając jéj ręce:

— O Joanno! Joanno! mówił, dla czegóż twoja niesprawiedliwa zazdrość zaprowadziła cię na ten bal! nie byłabyś w téj chwili bez pomocy i ratunku.

— Umieram, przyślijcie mi kapłana! z cicha mówiła młoda dama.

Adrjan na skinienie pięknego młodzieńca zbliżył się do choréj. Na jego widok twarz jéj ożywiła się.

— Ah! Bóg zsyła cię ojcze na ratunek dla mnie. Wysłuchaj grzechów moich i odpuść mi je, ale spiesz się, bo chwile moje są policzone.

Adrjan za pierwszém spojrzeniem postrzegł że stan słabéj nie jest niebezpiecznym, że wymaga prędkiéj ale łatwéj pomocy. Ponieważ

przez czas swego pobytu w Dammé nauczył się sztuki lekarskiéj i uleczył wielu wieśniaków pragnienie stania się użytecznym i ulżenia istocie cierpiącéj, odjęło mu w jednéj chwili jego wrodzoną nieśmiałość.

— Pani, rzekł, najprzód udzielę ci rozgrzeszenie; bo w przypadkach nagłych kościół dozwala nam uczynić to bez słuchania spowiedzi, a potém z uspokojoną duszą zajmiemy się twoją słabością fizyczną. Wzniósł ręce nad słabą, wymówił święte słowa rozgrzeszenia i krótką ale żarliwą modlitwę, potém dotknął pulsu słabéj, i oświadczył że można bez niebezpieczeństwa przenieść ją na miejsce wygodniéjsze; po dopełnieniu tego, usiadł przy łożu słabéj i przepisał rozmaite środki, które skutkowały szybko i prawie cudownie. Po chwili lekarz i spowiednik przybyli spiesznie.

— Wasza powinność już jest dopełniona, rzekł do nich sucho młody pan. Podczas kiedy naprożno szukano was wszędzie, dla tego że opuściliście stanowisko, które wam powinność wasza nakazywała, Bóg zesłał nam tego kapłana, który stał się razem duchownym i cielesnym

lekarzem księżnéj. Niech więc sam dokończy dzieła, które sam tak dobrze rozpoczął. Odejdździe!

Kiedy oni odchodzili pomięszani, jeden wyraz dziwnie brzmiał w uszach biednego Adrjana: tym wyrazem był tytuł księżnéj dany osobie słabéj, przy któréj się znajdował. Ale jego podziwienie bardziéj jesz cze wzrosło, kiedy młody pan przyszedł do niego z nowourodzoném dziécięciem na ręku.

— Trzeba ochrzcić z wody mego syna: to jeszcze do was należy. Chciéj więc dopełnić tego obrządku mój ojcze.

— Jakie jest imie dziecięcia, i jego rodziców wymówił machinalnie Adrjan.

— Jego matka zowie się Joanna, krolowa Kastylji, ojciec jego nosi imie Filipa, arcyksięcia Austrji. — Co do mego syna oddaję go opiece świętego Karóla, i nadaję mu od téj chwili tytuł księcia Luxemburskiego, i order złotego runa.

Biedny kapłan z podziwieniem i uszanowaniem padł na kolana, bo znajdował się przed swoim monarchą księciem Filipem pięknym, ar-

cy księciem Austrji, synem Cesarza Maxymiljana!

Noc przeszła spokojnie, i bez żadnego przypadku dla słabéj księżniczki. Za nadejściem dnia, Adrjan zabierał się wyjść chociaż na krótki czas, aby uspokoić swoich przyjaciół, których tak długo jego nieobecność niepokoić mogła: spodziewał się przy świetle dnia za pomocą przewodnika i imienia Memlink, które jak mniemał powinno było znaném być ludziom w pałacu, znaleść dom najęty przez swego dobroczyńcę. Na szelest jaki sprawił, księżna obudziła się, spojrzała na niego wzrokiem obłąkanym i zatrzymując go za rękę rzekła:

— Nie odejdziesz ode mnie! nie oddalaj się! bo oni przyjdą i zabiorą mi dziécię i męża!

Adrjan patrzył na nią nie rozumiejąc jéj słów. Ona podniosła się, usiadła na łóżku, zebrała zmysły i zaczęła płakać.

— Oh! mówiła, mój rozum mięsza się, boleść pozbawiła mię zmysłów! Nie mam nikogo któremu bym mogła powierzyć moje cierpienia, którvby nie zdradził mię, i nie przedał tajemnic, które w chwilach obłąkania wydzierają się

z ust moich! Ojcze, winnam ci życie, tyś memu dziécięciu życie ocalił. Jesteś duchownym, nie zdradzisz mię, muszę ci wyznać tajemnicę, która mię w obłąkanie wprowadzi, jeśli to nieszczęście nie dotknęło mię jeszcze.

Adrjan skinieniem chciał uniknąć tego niebezpiecznego zwierzenia się, ale Joanna nie zważając na to, tak zaczęła:

— Ojcze, jestem zazdrosną; Bóg nie dał mi wdzięków, a połączył mię z najpiękniéjszym z ludzi. Zapewnie skryte jego wyroki chciały ukarać mię za jakiś występek, który spełniłam; Filip nie kocha mnie, a istnienie moje stało się nieznośną męczarnią. Zazdrość pożera serce moje... Zazdrość! Oh, gdybyś wiedział jakie to męczarnie sprawia! Kochać nie będąc kochaną! piekło nie ma podobnych tortur. Wszystko mię martwi, wszystko mię niepokoi! Mąż mój, którego męczy moja tkliwość i moje obawy, unika mię, a kiedy on nie jest przy mnie, ja umieram. Opuściłam łoże chociaż sła-

ba, aby być na balu, dla tego że on był na nim; zostałam matką w tém miejscu, bo nie mogłam żyć bez Filipa; przyniosłam mu w posagu koronę, dla tego mię zaślubił! ja mu ją oddałam bo kochałam go! Znasz teraz moje cierpienia i ich powody. O mój Boże! mój Boże! ja zmysły z tego postradam!

Mówiła jeszcze, a kapłan usiłował uspokoić ją, widząc znaki wzburzenia umysłowego przepowiadające zbyt pewne obłąkanie, kiedy wszedł arcyksiążę, z czołem zmarszczoném od gniewu i nieukontentowania. Zimno pocałował w czoło księżniczkę, poszedł do kolebki syna stojącéj w przyległym pokoju i rozkazawszy kobietom znajdującym się tam, aby się oddaliły, skinął na kapłana aby się zbliżył.

— Mój ojcze, rzekł, słyszałem wyznanie jakie przed tobą uczyniła arcyksiężna, i przypadek który cię uczynił lekarzem, czyni cię teraz jéj powiernikiem; pojmujesz to że wdzięczność i potrzeba przywiązują cię nadal do mego domu. Bądź mi wiernym na przyszłość,

jak mi byłeś użytecznym w przeszłych chwilach, a los twój będzie szczęśliwy. Mianuję cię jałmużnikiem arcyksiężnéj i zastąpisz jéj spowiednika don Minola, który téj nocy z roskazu mego udał się do Hiszpańji, gdzie w więzieniu rozmyślać będzie nad niebezpieczeństwem wielomóstwa.

Don Minola, podobnie jak ty dziś, dowiedział się tajemnicy obłąkania, które niekiedy napada arcyksiężnę, powierzył tę tajemnicę jednemu z oficerów mego dworu. Ten oficer udał się w tę samą co on podróż. Widzisz więc że równie umiem karać jak nagradzać.

A teraz, oto jest moja wola. Nie masz wychodzić z tego pałacu pod żadnym pozorem; nikt cię tu nie zna, a ty nikomu nie powiesz, ani jak się nazywasz, ani skąd przybyłeś. Za kilka dni odbędzie się chrzest mego syna; potém jego matka uda się do Hiszpańji; ty będziesz jéj towarzyszył, bo odtąd nie odstąpisz jéj do śmierci. Jeśli jest w Gand ktokolwiek znający cię, niec tenh ktoś sądzi ż umarłeś. Istotnie, nie ma w tobie już nic

z tego ubogiego kapłana którym byłeś wczoraj. Stosownie do tego jak będziesz postępował, przeznaczony jesteś do wielkich dostojności i bogactw, albo do wiecznego więzienia; wybieraj!

VI.

W PRADZE I W WITTORJI.

Memlink, Antoni i Małgorzata, zostawali w zupełnéj niepewności względem losu ich przyjaciela; wszystkie niezliczone starania jakie przedsiębrali dla odkrycia co się z nim stało, pozostały bezskutecznemi. W smutku spędzili dnie uroczystości chrzcin nowo narodowego młodego księ-

cia, i nie brali udziału w zabawach jakim się oddawało całe miasto. Obrzęd chrztu odbył się w kościele śgo Bavan, jałmużnik królowéj, który niósł do chrztu dziecię, miał twarz zakrytą kapturem tak że nikt nie mógł widzieć jego rysów.

Smutek jakiego doznawali z powodu tajemnego zniknięcia Adrjana, zwolna uspokoił się w sercach jego przyjaciół, wpośród powodzenia jakie znalazły obrazy młodego Aldovranda. Wystawienie ich ściągnęło mnóstwo ciekawych, imie młodego artysty powtarzane było z zapałem w całém mieście i najbogatszy mieszczanin Adam Spendlemans, kupił najznakomitsze obrazy Antoniego, aby je posłać w podarunku książętom Parmy i Placencji, którzy w swych krajach opiekowali się jego handlem.

Imie Aldovranda chlubnie rozgłoszoném zostało we Włoszech, tak jak pierwéj we Flandrji a wkrótce i Hiszpańja dowiedziała się o tém sławném imieniu, bo dnia jednego młody malarz otrzymał list z wexlem na tysiąc sztuk złota, które miał wypłacić najbogatszy kupiec miasta, za piękny obraz pędzla Antoniego. Kosztowne to dzieło miało być przesłaném do Madrytu, na

ręce jałmużnika królowéj. Nazwisko tego dygnitarza nie było podpisane. Aldovrand pospieszył uczynić zadość żądaniu kapłana, który tak hojnie płacił, i posłał mu *Wniebowzięcie N. Panny* które dziś jeszcze podziwiają w galerji watykanu w Rzymie. Dowiemy się późniéj jakim sposobem obraz ten przeszedł z Hiszpanji do Włoch.

Fortuna polubiła młodego Aldovranda i nie ograniczyła się na tych łaskach, o których już wiemy. Jerzy Podebrak książe czeski, dawniéjszy opiekun Memlinka, napisał do swego dawnego malarza, żeby przywiósł ucznia swego na dwór w Pradze i do tego żądania dodał wspaniałe podarunki i świetne obietnice. Memlink postanowił przyjąć, to przełożenie i wyjechać jak najspieszniéj, tém bardziéj że Antoni zakochał się w Annie Spendlemans, corce bogatego kupca, a niezmierny majątek ojca czynił niepodobnym związek, którego z drugiéj strony ani matka ani opiekun Antoniego nie życzyli sobie, z powodu płochéj zalotności Anny. Pojechali więc pomimo łez młodzieńca, który sądził że jego boleść będzie wieczną, ale który wkrótce zapomniał zupełnie o przedmiocie mniemanéj miło-

ści, wpośród zabaw dworu księcia Podebrak który świetnie obchodził przybycie znakomitetych dwóch malarzy. Stosownie do życzenia księcia, zamieszkali oni w jego pałacu i opływali we wszystko, dzięki jego szczodrobliwości.

Aldovrand uleczony z swéj miłości z zapałem poświęcił się na nowo swéj sztuce. Najprzód wymalował do wielkiego ołtarza kościoła katedralnego w Pradze obraz przedstawiają *Mojżesza przy krzaku gorejącym*. Płomienie przedstawione były z taką naturalnością, że młoda córka księcia, Ferdynanda Joanna Marja, na widok tego obrazu zawołała uciekając w objęcia matki:

— Ah, nie chciałabym się dotknąć do tego krzaku, bobym sobie sparzyła ręce.

Te słowa były najlepszym wyrokiem o doskonałości malowania; dziécię nie mogło ocenić sztuki, ale oceniło naturę.

Wkrótce potém gwałtowna słabość dotknęła młodą księżniczkę i w kilka godzin pozbawiła ją życia. Jéj zgon w smutku pogrążył cały dwór Pragi, a Aldovrand postanowił

wymalować wstąpienie anioła do nieba. Na tym obrazie przedstawił on raj otwarty, w środku jego umieścił N. Pannę, w sukni błękitnéj, depczącą nogami podług wyrażenia biblji, węża sprawcę złego. Merkury z skrzydłami u nóg i wężoikjem w ręku, odbierał od miasta Pragi królewskie dziécię i podawał je matce zbawiciela. Ferdynanda Joanna Marja unosiła się w powietrzu, w lekkiéj tunice żółtéj, któréj fałdy spływały z najdoskonalszą naturalnością. U góry obrazu znajdowali się anieli i święci chrześćjańscy, pomięszani z bogami mitologji. Spód zajmowały miasta, lasy i pola zaludnione ludźmi i nimfami w kostiumach symbolicznych. Nic nigdy nie zrównało w doskonałości temu połączeniu świętości i poganizmu, co było w modzie na początku piętnastego wieku. Aldovrand otrzymał od księcia Podebraka tysiąc sztuk złota, łańcuch złoty takiéjże wartości, i portret księcia.

Zachęcony taką hojnością, wymalował on jeszcze w Czechach *wieżę Babel*, *Żonę Lota*, portret *księżnéj czeskiéj* i dwa pejzaże nader sta-

rannie wykończone. Podebrak dumny że posiada na swoim dworze tak znakomitego artystę, ozdobił go orderem Barana, i ożenił go z młodą wdową rzadkiéj piękności i znakomitego rodu. Wesele odbyło się uroczyście, przy świetle pochodni, w ogrodzie książęcym, i trudno sobie wystawić radość Małgorzaty, widzącéj syna w takiéj chwale i szczęściu.

Wkrótce po ślubie, Aldovrand kazał sobie zbudować wspaniały pałac. Ze wszech stron przybywali do niego uczniowie, pragnący nauczyć się od niego, jego tajemnic sztuki. Między najsławniéjszemi wymieniają Andrzeja Guelph i Og de Basan; ich szybkie postępy, i łagodność charakteru, tak podobały się Aldovrandowi, że zwykł był o nich mówić: Że gdyby żyli w czasie potopu, Noe nie byłby mógł odmówić im przyjęcia do Arki.

We dwadzieścia i jeden lat po tajemniczém zniknieniu ich przyjaciela Adrjana Boyers, Antoni Aldovrand, Memlink i Małgorzata, przybyli do Wittorji, w chwili kiedy słońce zachodziło za widnokrąg. Jechali z Pragi, do tego hiszpańskiego miasta, na usilne naleganie Karola piątego, który chciał ważne bardzo prace powie-

rzyć dwóm znakomitym malarzom. Żądania cesarza prócz własnego jego wezwania, powtórzone kilkakrotnie zostały przez listy podpisywane przez kardynała arcybiskupa Tortozy ministra i gubernatora Hiszpańji. Podróżni stanąwszy w pałacu który gościnność tego duchownego księcia wskazała im na mieszkanie, spodziewali się spocząć po tylu trudach podróży, i zamierzali nazajutrz dopiero złożyć swoje uszanowanie ministrowi, kiedy w tém paź tego ostatniego, przyszedł prosić ich, w imieniu swego pana, aby natychmiast udali się do niego. Zdziwieni tém niespodzianém żądaniem, chcieli natychmiast wypełnić je, zostawiając jednak w domu Małgorzatę, ale paź oświadczył, iż wyraźném jest życzeniem kardynała, aby i matka młodego artysty przyszła z niemi razem. Wszyscy troje zatém udali się na dziedziniec, gdzie już oczekiwały na nich lektyki, które ich poniosły do pałacu ministra.

Paź który im służył za przewodnika, wprowadził ich do obszernéj sali, przyozdobionéj wspaniale i ze zbytkiem prawie króleskim, znaleźli tam kardynała gubernatora, ubranego w szkarłat i w kapelusz tegoż koloru. Kilka znakomi-

tych osób, między niemi don Fadrigue Henriquez admirał Kastylji i don Inigo Velasco, dowódca siły lądowéj, rozmawiało z nim o sprawach państwa donosząc mu o świetném zwycięstwie odniesioném na równinie Vellalad które ostatni cios zadało buntownikom, którzy walczyli pod imieniem *członków świętéj ligi.* Kardynał zachwycony tą niespodzianą łaską losu, wykrzykiwał radośnie, klaskał w ręce jak dziecię, klękał przed obrazem N. Panny, i znowu wstawał i powtarzał okrzyki radości.

—Ah! więc zostali zwyciężonemi! wołał. Nie mamy już czego się obawiać! Jesteście panowie wielkiemi wojownikami. N. Pan, nagrodzi was jak zasługujecie. Któżby mógł spodziewać się tak pomyślnego rozwiązania téj wojny, kiedy buntownicy ciągle zwyciężali zpoczątku. Nakoniec upadli! chwała bądź Bogu i N. Pannie.

— Waszéj świątobliwości jest to dziełem! rzekł don Fadrigue Henriquez.

— Mojém dziełem! Nie mówcie mi pochlebstw, którym nie uwierzę, które nie zgodne są z waszém przekonaniem, panie admirale. Nie ja

to, ubogi kapłan, rzucony przez wolę monarchy w odmęt spraw politycznych, których nie rozumiem, nie ja to zwyciężyłem buntowników, ale wy dwaj moi panowie, wy sami.

— Ale przynajmniéj wasza świętobliwość zechce zawyrokować względem losu jeńców, rzekł naczelny wódz. Cóż mamy z niemi uczynić? czy na rusztowaniu mają spaść głowy naczelników, czy wygnanie lub więzienie dla innych, zapewnić ma na przyszłość pokój Hiszpańji.

— Rusztowanie? wygnanie? więzienie? nie, panowie, ani jedno, ani drugie. Zwyciężeni są? bądźmy miłosiernemi, uwolnijmy więźniow, niech w pokoju wracają do swoich rodzin.

— Ależ to naraziłoby nas na nową wojnę, będąc wolnemi i puszczeni bezkarnie, wezmą się na powrót do oręża, a nie wiemy czy będziemy drugi raz tak szczęśliwemi w walczeniu z niemi.

— Tak, podobno panowie macie słuszność, wszakże powiedziałem że się nie znam na podobnych sprawach, zatrzymajcie więc waszych jeńców, ale nie mówcie mi o rusztowaniu. Napiszę do cesarza, sam Karol piąty zawyrokuje o ich losie. Teraz żegnam was panowie, bo oto dwaj sławni malarze czekają na posłuchanie, a wiecie

że cesarz szacuje i chce aby szacowano artystów.

— Kardynał pożegnał ukłonem admirała i naczelnego wodza. Następnie zbliżył się do Małgorzaty i jéj dwóch towarzyszy, którzy z uszanowaniem stali opodal, kiedy kardynał żegnał admirała i Don Velasco.

Kardynał z trudnością ukrywał radość dziecinną, założył ręce na piersiach, i patrzył na podeszłą damę.

— Hiszpańja i mój wielki monarcha, cieszą się z przybycia tak sławnych artystów, zaczął mówić, — ale nagle porzucił udawanie i decorum, zaczął płakać z radości, i rzucił się w objęcia Memlinka.

— Nie poznajecie biédnego Adrjana, któremu pani nie pozwoliłaś umrzéć z głodu na gościńcu pod drzewem? Jakto, jeśli oczy wasze nie poznały mię, czyliż serca wasze nie powiedziały wam że przyjaciel stoi před wami? Tak, to ja, ja Adrjan Boyers, syn stolarza. Niestety! moje dzieci, Jestem arcy biskupem, kardynałem, gubernatorem Hiszpańji! Byłem jałmużnikiem królowéj Joanny obłąkanéj, potém ambasadorem, potém rejen-

tem królestwa. Tak! ja który zabłąkałem się na ulicach Gand, dla tego że nie miałem tyle rozgarnięcia, żeby znaleść dom w którym miałem mieszkać z wami; ja który nie umiałem na chléb zarobić, i byłbym umarł z głodu, gdyby nie wasza litość, ja musiałem rządzić Hiszpańją, z kardynałem Ximenez, najzręczniéjszym dyplomatykiem świata. Śmiał się on ciągle z mojéj prostoty, i dawał mi podpisywać najniebezpieczniéjsze postanowienia; to zjednało mi sławę człowieka śmiałego, mnie, którego tak dobrze znacie. Otóż Karol piąty doszedłszy do lat i zostawszy cesarzem, nie chciał wierzyć mojéj niezdolności, do któréj przyznawałem się sto razy. Wszystko co czynią otaczający mię ludzie, jeśli jest dobrém, mnie bywa przypisywane, a jeśli im się co nie uda, to ich tylko wina, tak dalece sława mojéj zręczności jest utrwaloną. Ci dwaj znakomici panowie którzy wyszli przed chwilą, odnieśli właśnie wielkie zwycięztwo... ja nie wiedziałem nawet że jaka bitwa miała miejsce, a oni mówią, że mojém jest dziełem zakończenie tak szczęśliwe wojny domowéj. Tak to na dworze moje dzieci. Dla tego też nie doznałem szczęścia od czasu jak was

utraciłem!.. Ale jesteście mi wróceni,... uściśnijcie mię raz jeszcze, bo widzicie że płaczę z radości.

Wszyscy czworo oddali się nieprzymuszonéj wesołości i rozrzewnieniu, jakie obudziły tysiączne wspomnienia przeszłości; kiedy zastawiono wieczerzę, Adrjan oddalił sługi i zabronił aby nikt nie wchodził do sali.

VII

ROZWIĄZANIE.

Nie długo cieszyli się z sobą dawni przyjaciele; nazajutrz po przybyciu dwóch malarzy do Vittorji, goniec przybyły z Rzymu doniósł o śmierci Leona X i o obraniu w jego miejsce kardynała arcybiskupa Tortozy, pod imieniem Adrjana VI. Ze smutkiem pożegnał Adrjan swoich

przyjaciół i udał się do swojéj nowéj stolicy, gdzie po roku panowania zakończył szczęśliwie życie.

Memlink i Antoni Aldovrand wrócili do stolicy czeskiéj, obsypani łaskami Karola piątego, i we dwa lata dopiero potém śmierć rozdzieliła nauczyciela z uczniem. Memlink umarł nagle wpośród uczty, zaledwie mając czas uścisnąć ostatni raz rękę Aldovranda.

Aldovrand długie jeszcze lata przeżył szczęśliwie, miał czworo dzieci, którym książe Podebrak nadał szlachectwo, ale w końcu życia los który mu dotąd sprzyjał, zaćmił jego widnokręg; posłuchajmy jak o tém mówi historyk M. Beckfors.

„Aldovrand z uczniami swemi pracował nad szeregiem wielkich obrazów których ogół stanowić miał całą historję Gotów i Wandalów. Płótno jakiego używał do tych obrazów stawało się co raz trudniéjszém do nabycia, mało go wyrabiano, i już prawie zupełnie zbywało na niém. Książe Podebrak rozkazał wszystkim swoim poddanym, aby zwozili płótno jakie tylko posiadają, do magazynu który został założony pod opieką Aldovranda z przydomkiem Wielkiego, który mu został przez księcia nadany. Magazyn ten wkrót-

ce obficie był napełniony, bo zagrożono najsurowszą karą każdemu, ktoby zachował u siebie jakąkolwiek ilość płótna zdatnego do malowania. Ale właśnie kiedy wielki artysta z całym zapałem jął się do pracy, doniesiono mu że cały magazyn płótna stał się pastwą płomieni. Ta wiadomość tak gwałtownie działała na jego duszę, że wpadł w obłąkanie i wpośród wykrzyknień rozpaczy wyzionął ducha.

Książe Pcdebrak i cały dwór opłakiwali tak bolesną stratę. i przywdzieli żałobę. Aldovrand wielki zgasł zawcześnie dla sztuki, któréj stał się jedną z głównych ozdób; ale sława jego imienia pozostała nieśmiertelną, bo przekazał ją potomności w dziełach swoich, które dziś jeszcze wzbudzają powszechne uwielbienie znawców.

WIESZCZKA

SCIENTIA.

Przed kilku laty żyła w Berlinie młoda szwaczka, nazywała się Małgorzata, ojciec jéj, jak wszyscy Prusacy z jego czasów, był uczestnikiem w bitwach przeciwko Francuzom podczas cesarstwa i zginął pod Jeną, jéj matka

także umarła i z całéj rodziny została jéj tylko babka, kobieta ośmdziesięcioletnia, która niekiedy uśmiechała się tajemniczo, i potrząsałą głową dziwacznie jak wszystkie stare kobiety. Małgorzata skończyła lat szesnaście, a jednak wydawało się że nie miała więcéj jak czternaście, tak była szczupłą i drobną. Rzeczy o których młode dziewczęta wiedzą, dla tego że nie powinny o nich wiedzieć, ona nie znała zupełnie; rzecz do nieuwierzenia, nie przeglądała się nigdy w zwierciedle, mowię wam to barzdo prędko, dla tego, że niniejsza powieść jest niepodobną do prawdy, potrzebuję więc przygotować was przez niepodobieństwa do niepodobieństw które nastąpią. Jak dziécię miała ona wielkie pojęcię, tkliwość instynktową i oczy pełne łez, na widok nędzy wiele cierpiała i głośne wydawała westchnienia, napominania babki były przyczyną jéj słabości; tak dalece że sama w chwilach wesołości, porownywała serce swe do poduszki napchanéj otrębami, w którą szpilki wchodzą z łatwoscią, z tą tylko różnicą że poduszka nie zakrwawi się, serce zaś jéj bardzo się zakrwawiało na najmniéjsze zakłucie. Z resztą, uśmiech zawsze był sąsia-

dem łez; kiedy wiele płakała, uśmiechała się chętnie za najmniejszą przyjazną okolicznością. Życie jéj podobne było do dni Kwietnia nieustannie przyplątanych deszczem i słońcem.

Jeszcze więcéj mielibyśmy wyobrażenia o jéj szczerocie, gdybym był wam powiedział, że nie obmawiała nigdy swoich sąsiadek, i że w Niedzielę kiedy z okna swego spoglądała na wesołe grono szwaczek, które wychodziły na przedmieście na tańce, nigdy jéj nie przeszła przez głowę myśl: że ta miała ramiona nadto szerokie, tamta duży nos, inna spłowiałe wstążki u czepeczka, ta zaś suknią wyszłą z mody.

Małgorzata żyła więc w jak najprostszéj niewinności. Wszystkie dni tygodnia przepędzała na szyciu, śpiewając i wzdychając, podług stanu swego umysłu. W Niedzielę szła rano na mszę, przez resztę zaś dnia zadawała swojéj babce pani Schnaps tysiące pytań, których sztaruszka nie zostawiała bez odpowiedzi, już to przez dobroć, już też że lubiła rozmawiać. Zapytania te jednak stawiały babkę nie raz w przykrém położeniu. Jak odpowiedzieć bez uśmiechu młodej szesnastoletniéj dziewczynie, która pyta dla czego pi-

sarz komory, przez całą mszę spoglądał w stronę gdzie siedziała córka poborcy miejskiego, zamiast patrzéć na książkę z modlitwami. Pani Schnaps w takich przykrych chwilach postępowała z największą roztropnością, ograniczała się zwykle na pogłaskaniu twarzy szwaczki, i zmieniała rozmowę:,, Małgosiu podaj mi naparsztek, albo okulary, lub też druty od pończoch.

Najprzyjemniéjszym dniem dla Małgorzaty była Sobota. Miała ona trzy przyjaciółki prawie jéj wieku. A więc w Sobotę po skończonéj pracy, trzy przyjaciołki odwiedzały ją; w tym dniu była mała uczta w pokoiku Małgorzaty; zapalała lampkę, sprzątnęła swoją robotę i z niecierpliwością oczekiwała godziny dziewiątéj. Dziewiąta wybiła, przyjaciołki wchodziły, ściskano się: Jak się masz Małgosiu, dobry wieczór Teresiu, dobry wieczór Basiu, dobry wieczór Teklusiu, a potém znowu uściski i śmiechy bez końca. Usiadły i rozmawiały. Pani Schnaps która była głuchą, kiedy tego chciała, w Sobotę była więcéj jeszcze głuchą, opuszczała głowę nad robotą i nic nie słyszała. Gdy się

narozmawiały do woli, Małgorzata przynosiła loteryjkę, i grały po pół grosza stawkę; o dziesiątéj godzinie, wystawiała z szafy dwie butelki lekkiego piwa i talerz pełen ciastek, cztery przyjaciołki piły i jadły, wieczór kończył się niemiecką piosneczką, którą śpiewała Małgorzata, a Teresia, Basia i Tekla, przy ostatnich wierszach każdéj zwrotki wtórowały: Ze wszystkich ptaków wędrownych, miłość najwięcéj zatrważa, unikajcie jéj młode dziewczęta!

Małgorzata śpiewała naiwnie te naiwne wyrazy, nie rozumiejąc ich; nie pytała nawet nigdy swojéj babki, dla czego miłość jest najniebezpieczniejszym ptakiem wędrownym; inaczéj nie usprawiedliwiłaby obrazu jéj niewiadomości i szczeroty, jaki wystawilismy. Kiedy kto czyni takie zapytanie, to już nie ma potrzeby go czynić. Małgorzata kochała zarówno swoje trzy przyjaciołki, i znalazłaby się w kłopocie, gdyby ją kto zapytał, którą nad inne przekłada. Teresa była najwyższa; Basia miała włosy jasne i najtkliwiéj ściskała; Tekla w postępowaniu miała pewien rodzaj obojętności która pociągała przez to, że nie starała się pociągać;

Małgorzata śmiała się z przysłów Teressy, dawała się uprzedzać grzecznościom Basi, a największą uprzejmość zachowywała dla Tekli, właśnie dla tego *że* Tekla nigdy jéj wzajemnie nie odpłacała.

Tak podzielona między zatrudnieniami które jéj się nie przykrzyły i przyjaźnią która jéj była drogą, Małgorzata była szczęśliwą, cały tydzień myślała o swoich przyjaciołkach a w Sobotę je oglądała. Utworzyła sobie nawet uczucie dodatkowe, które dopełniało jéj szczęścia: miała w jednéj klatce troje gołębi, białe, miłe ptaszki które nawet nie wiele gruchały, co jest nie małą zaletą, jak na gołębie. Jeden miał piękną szyjkę a pod szyjką czarną plamkę, która podobną była do gałki hebanu puszczonéj w mleko, drugi miał końce skrzydeł mieniące się jak kolory w tęczy, trzeci miał na głowie czubek błyszczący się od promieni słońca.

Małgorzata poświęcała dwie godziny każdego dnia swoim gołąbkom; karmiła je, pieściła i skutkiem naturalnego pociągu każdemu nadała imie jednéj z swoich przyjaciółek. Pierwszego nazywała Teressą, drugiego Basią, a trzeciego

Teklą. W uniesieniu wyobrażała sobie że każdy gołąbek posiadał wyłącznie wszystkie własności téj któréj nosił nazwisko.

Te trzy gołąbki przez cały tydzień zastępowały jéj miejsce nieobecnych przyjaciółek, przyjaciółki i gołębie błądziły w jéj sercu i ściskając jedne sądziła że pieści się z drugiemi, dla tego też w Sobotę wieczorém, nie zaniedbała nigdy oddać gołąbkom resztę ciastek które przyciołki zostawiły; zdawało jéj się iż powinna była dzielić ciastka jak dzieliła uściski. Tak więc serce Małgorzaty przez siedm dni dzieliło się między babką trzema przyjaciółkami i trzema gołąbkami wyjąwszy małéj cząsteczki którą tajemnie oddzielała od ogołu poświęcając ją pięknemu angorajskiemu kotowi, który przez dzień kładł się na stołeczku na którym Małgorzata trzymała nogi, w nocy zaś spoczywał obok jéj łóżka na czystéj i miękkiéj poduszce. Jak więc widzicie, Sobota był to dzień uroczysty dla wszystkich, gołąbki i kot znały ten dzień zapewne; a kiedy przyjaciółki opuszczały Małgorzatę około jedenastéj wieczorem, ona uściskała gołąbki pogłaskała kota i zasypiała rozkosznie. Tylko pani Schnaps trochę narzekała;

w jéj wieku przykro jéj było zostawać tak późno bez spoczynku, a jednak ta kobieta, pomimo jéj głuchoty, zdawało się że żadną chorobą starości nie była dotkniętą, lecz powiedziałem że w niéj było coś tajemnego, możecie szukać tajemnicy w téj pozornéj sprzeczności.

Nadeszła Sobota, dziewiąta godzina miała uderzyć, swiatło małéj lampki błyszczało zacienione zielonym papierem, Małgorzata ustawiła krzesła, sprzątnela robotę i oczekiwała. Wybiła dziewiąta, trzy przyjaciółki weszły, gołąbki trzepotały skrzydełkami, kot miauczał, pani Schnaps, po zwykłém przywitaniu włożyła okulary, które zdjęła przed chwilą, wzięła druty od pończoch i przekładała je między palcami, a zasłaniając się głuchotą, nie należała do rozmowy. Jak zwykle mówiono o niczém, o zabawach dziecinnych; lecz Małgorzata uważała znaczną zmianę w obejściu się trzech przyjaciółek, w spojrzeniach ich można było dostrzedz dumę, a nawet szyderstwo; spoglądały na nią uśmiechem, podobne były do nowo zamężnéj obok wczorajszych swych towarzyszek; można było powie-

dzićć że pogardzały nią. Ta zmiana którą Małgorzata dostrzegła z bystrością zazdrosną kochającego serca i pierwszy raz zawiedzionego, zasmuciła ją; ściskała swoje towarzyszki, więcéj mowiła jak zwykle; nic nie pomogło; Teressa, Basia i Tekla zaledwie je słuchały, i za każdém jéj odezwaniem się zdawały się odpowiadać: — Jak można znajdować przyjemność w niczém, zajmować się fraszkami, kiedy jest coś ważniéjszego na świecie? Małgorzata nie zdołała zrozumiéć takiéj mowy, dla tego też tę zmianę przypisywała obojętności swoich przyjaciółek; spoglądała na wszystkie ze łzami w oczach i pytała każdéj z kolei,

— Czy nie kochasz mię już Teresiu?

— Czy nie kochasz mię już Basiu?

— Czy nie kochasz mię już Teklusiu?

Teressa Basia i Tekla zapewniły Magorzatę, że ją zawsze kochają: Basia ucałowała je, lecz wszystkie trzy nie przestawały spoglądać z uśmiechem na siebie! Małgorzata mówiła o gołąbkach, o kotku; przyjaciołki więcéj się jeszcze śmiały, trzeba było całéj jéj odwagi aby się nie rozpłakała.

— Cóż się wam stało? pytała się, zdaje się że pogardzacie mną i żartujecie ze mnie; cóż wam uczyniłam? nie jesteścież równego ze mną wieku, wszak jesteście szwaczkami tak jak ja. Zkąd więc ten ton wyższości jaki względem mnie okazujecie, czy wiecie o czém ja nie wiem? jeśli tak jest, dla czego mi o tém nie mówicie, dla czego mnie nie nauczycie tego co wam jest wiadomém.

Przez niejaki czas, trzy przyjaciołki zostawiały te pytania bez odpowiedzi; nakoniec Teressa, tonem współuczucia, który zbyt usprawiedliwiał wyrzuty Małgorzaty, odezwała się.

O to nigdy nie należy się pytać moja kochana, są rzeczy których same się nauczemy albo o nich nigdy nie wiemy.

Dwie inne przyjaciołki pochwalały w milczeniu odpowiedź niegrzeczną Teressy. Nie wiedząc co odpowiedzieć, Małgorzata zapłakała.

Pierwszy raz od czasu wejścia dziewcząt, pani Schnaps podniosła głowę, poprowadziła palcem po szkłach okularów, spojrzała na płaczącą wnuczkę i znowu spokojnie zaczęła robić pończochę, spuściwszy zwykłym sposobem

głowę. Jeden wyraz Basi pocieszył Małgorzatę; powiedziałem już że łatwo przechodziła z łez do śmiechu; uśmiechnęła się, powstała, przyniosła loteryjkę, i kładąc na stole rzekła:

— Już dziesiąta, czy będziemy grać w loteryjkę?

Trzy przyjaciołki przygryzły usta.

— Czy nie chcecie grać? zapytała Małgorzata bardzo wzruszona.

— Dzieci tylko grają w loteryjkę, rzekła Teressa.

Ta odpowiedź oburzyła Małgorzatę.

— Dzieci tylko! odpowiedziała; czyż nie grałyśmy ostatniéj Soboty? Byłyżeście dziećmi przed ośmią dniami, a dziś już nie jesteście: od jakież to czasu zostałyście tak słusznemi pannami, że nasze zabawy wydają sie wam dziecinnemi?

—W ośmiu dniach wiele rzeczy nauczyć się można, rzekła Basia.

— Czegóż więc? zapytała Małgorzata.

Śmiechem znów odpowiedziano na to zapytanie.

— Widzę teraz, rzekła, po chwili Małgorza-

ta, że już nie jesteście mojemi przyjaciołkami; czyńcie jak się wam podoba, lecz ja wam oświadczam, że jeżeli mi natychmiast nie oznajmicie przyczyny waszych śmiechów i wzgardy jaką mi okazujecie, nigdy was w życiu nie zobaczę. Nie mogę się o tém dowiedziéć o czém wy wiecie, jeżeli stałyście się wielkiemi osobami, czemuż ja taką zostać nie mogęż. To nie pięknie dla was miéć dla mnie jaką tajemnicę, to brzydko.

Teresa wskazała palcem panią Schnaps, chciała przez to okazać że nie mogą mówić przy świadku.

— Babka nic nie słyszy, rzekła Małgorzata, nauczcie mnie jak można zostać słuszną panną w tak krótkim czasie.

— Słuchaj więc, rzekła wówczas Teressa, opowiemy ci nasz wypadek, zrozumiesz go ieśli potrafisz. Wczoraj, po ukończeniu roboty, przechodziłyśmy wszystkie trzy przez plac broni, powietrze było czyste, niebo gwiazdami zasiane. Szłyśmy powoli, i trzej mężczyzni szli za nami i mówili o nas.

— Co mówili? zapytała Małgorzata.

— A cóż mężczyzni mogą mówić o młodych dziewczętach jak my? że jesteśmy piękne, że mamy ładne oczy i figury jak księżniczki. Przyśpieszyłyśmy kroku, zawsze szli za nami i nakoniec jeden z nich przybliżył się do mnie i zdejmując zgrabnie kapelusz:

— Pani, rzekł do mnie, jesteśmy bardzo nieszczęśliwi, zdaje mi się bowiem że panie uciekacie przed nami, jesteśmy uczniami prawa, sądziemy że to cie jest dostateczną przyczynę, abyśmy mogli przestraszać tak piękne stworzenia; raczcie się przekonać panie, że mamy ręce, które z radością możemy wam podać, i serca aby was kochać.

To mówiąc podał mi rękę, lecz to w sposób tak uprzejmy, że nie mogłam mu odmówić. Dwaj jego przyjaciele podali ręce Basi i Tekli, tak więc zamiast trzech było nas sześć osób na przechadzce. Mój kawaler jest piękny mężczyzna, wysoki, ma złoty łańcuch na szyi, piękne blond włosy, oczy jak niebo w lecie, głos miły jak harmonijka, i gdybyś wiedziała jak pięknie mówi, widać że dobrze wychowany, porównywał

mię do najpiękniejszych rzeczy, a jego porównania zawsze wypadały na moją korzyść; niezapominajki które zbieramy wieczorem, mniéj są przyjemne jak moje oczy, zęby moje bielsze od pereł, usta więcéj różowe niż koral, włosy miększe od jedwabiu.

— Mój, rzekła Basia, przerywając swojéj przyjaciółce, także tyle mi powiedział a nawet więcéj; on jest niski, lecz ileż wdzięku w jego postawie, jak błyszczące ma oczy, ile dowcipu w jego mowie, jak on mię zapewniał, że całe swoje życie poświęci dla mego uszczęśliwienia, jak wzywał niebo na świadka świętości swoich uczuć.

— Mój, odezwała się Tekla, która także chciała coś powiedziéć, ma korzyść na któréj waszym zbywa, czego nie możecie zaprzeczyć: ma prześliczne wąsy.

— O dziesiątéj godzinie. mówiła daléj Teressa, rozeszliśmy się, i przyrzekliśmy zobaczyć się w Niedzielę, przyjdą po nas i wezmą z sobą na redutę, jestto najpiękniéjszy bal w mieście, wszyscy trzéj są piękni i dobrzy jak anioły.

— Małgorzata słuchała tego opowiadanis z największém zadziwieniem.

— Zrozumiałaś to? zapytała jéj Basia.

— Nie widzę tu przyczyny, dla czego to was wstrzymało od loteryjki, rzekła Małgorzata.

Trzy przyjaciółki spojrzały na siebie, nie mogąc wstrzymać uśmiechu litości.

— Lecz wytłómaczcie mi to czego nie rozumiem, rzekła Małgorzata.

— Słuchaj Teresso, zaśpiewajmy naszą piosneczkę, a zaraz zobaczysz.

Małgorzata śpiewała, a Teressa, Basia i Tekla wtórowały jéj ostatnie wiersze zwrotki:

„Ze wszystkich ptaków wędrownych miłość najwięcéj zatrważa; unikajcie jéj młode dziewczęta!“

Gdy śpiewać skończyły, Teressa podniosła się i zapytała Małgorzaty.

— Czy wiesz co to jest miłość, czy wiesz co to jest kochanek? dowiedz się się o tém, a nie będziesz się miała o co pytać.

Wówczas uściskała Małgorzatę, dwie inne uczyniły toż samo i odeszły powtarzając.

— Bądź zdrowa duszko, śpij spokojnie.

— Małgorzata słyszała jak mówiły jeszcze na schodach:

— Bądź zdrowa duszko, śpij spokojnie.

To szydercze pożegnanie wydawało jéj się straszną obelgą, bezwątpienia była celem żarcików swoich przyjaciółek. Ta myśl mocno ją martwiła, lecz cóż miał znaczyć ich ton wyższości, uszczypliwy uśmiech i zapytania: Czy wiesz co to jest miłość, czy wiesz co to jest kochanek? Chciała natychmiast spytać się o to swéj babki, lecz staruszka tylko co się podniosła i odeszła do swego pokoiku. Małgorzata pozostała w swoim, smutno i zamyślona. Zapomniała pocałować się z gołąbkami, pogłaskać kota, i zasnęła płaczem znużona.

Nazajutrz postanowienie wypytania się babki ustąpiło pewnemu wstydowi, który w jéj sercu mięszał się z goryczą jéj myśli; nic nie mówiła i sama tylko cierpiała. Zdawało jéj się że wczoraj ostatni raz oglądała swoje przyjaciołki, na przyszłość, już w tygodniu nie będzie Soboty i zeszłych zabaw i rozrywek dziecinnych o których myślała wytrwale przez cały tydzień, jak skąpiec który goni za skarbem; jakże smutną będzie odtąd dla niéj Sobota! Poszła na mszę, mo-

dliła się, ale bez zapału, prawie bez wiary...

Po drugiéj godzinie usiadła w oknie, i obojętny rzucała wzrok na przechodzące osoby, które jak jéj przyjaciołki, miały zapewne wyobrażenia, uciechy, których ona nie rozumiała? Przestraszała się samotnością jaka ją otaczała; widziała się samą na świecie, samą jak wygnanka. Teressa, Basia i Tekla przeszły pod jéj oknem, każda trzymała pod rękę swego kawalera. Widząc je, uczuła że jéj cierpienia zwiększyły się i doświadczała okropnego wzruszenia kiedy przesyłały jéj ręką pozdrowienia, w tych pozdrowieniach zdawały się przemawiać:

Bądź zdrowa, biedna ślepa dziewczyno, co nie widzisz słońca.

Zamknęła prędko okno, i całowała czule gołąbki wołając na nie po imieniu, Teresiu, Basiu, Teklusiu; w tych uściskach złożyła całą czułość zdradzonéj przyjaźni, wszystką melancholję swego przeczucia: niestety! przyjaciołki ją opuściły a gołąbki zostały, a przecież gołąbki miały skrzydła!

Następny dzień także przeszedł smutnie; nie miała już chęci do pracy, i nie śpiewała wcale. Jéj smutek tak był widocznym, że pani Schnaps pierwszy raz zapytała się o przyczynę.

— To nic, odpowiedziała Małgorzata i mimowolnie zaczęła nucić ostatnie wiersze zwrotki niemieckiéj piosneczki:

„Ze wszystkich ptaków wędrownych, miłość najwięcéj zatrważa, unikajcie jéj młode dziewczęta!!

— W następujący Czwartek kiedy pani Schnaps przygotowała się do wyjścia, aby odnieść jak zwykle skończoną robotę, Małgorzata, wsparta w otworzonym oknie rozmyślała głęboko. Usłyszawszy że babka wychodziła, odwróciła się, wzięła ją pod rękę mówiąc:

— Kochana babko, wyjdę razem z tobą, potrzebuję się przejść.

Wyszły razem; lecz gdy powróciły, jakaż była rozpacz Małgorzaty, gdy zobaczyła klatkę w której były zamknięte gołębie otwartą i próżną!

— Babko zawołała, już nie ma dla mnie nadziei, gołębie i przyjaciołki opuściły mię i już

nigdy ich nie zobaczę; zgubione już dla mnie moje dwie Teklusie, dwie Basie i dwie Teresie. I padła na krzesło mówiąc o śmierci.

Pani Schnaps zbliżyła się do niéj, wzięła jéj rękę, uścisnęła ją i użyła wszystkich sposobów aby ją pocieszyć, nic nie pomogło:

Małgorzata powtarzała zawsze:

O moje wierne gołąbki! o moje dobre przyjaciołki.

Pani Schnaps przybrała wówczas ton tajemniczy połączony z powagą, usiadła naprzeciw wnuczki, zdjęła okulary, a szare jéj oczy błyszczały z wyrażeniem szczególnéj przenikliwości.

— Znudziłaś się twoją niewiadomością, rzekła do Małgorzaty, spokojność cię nudzi, chcesz *dowiedziéć się*, Opowiadania twoich lekkomyślnych przyjaciołek zawróciły ci głowę, pałasz chęcią dowiedzenia się co je uczyniło szczęśliwemi; dobrze więc *będziesz wiedziała*, i będziesz szczęśliwszą od nich, będziesz wiedziała bez niebezpieczeństwa, ponieważ mam lekarstwo na tę słabość, oświecę cię i będę cię bronić, one

tylko znają złudzenie, ja ci wskażę rzeczywistość.

Jakże była zdziwioną Małgorzata, babka słyszała więc opowiadanie Teressy? wszystko to zaczynało przybierać czarodziejską postać.

Nieszczęściem dla ciekawości Małgorzaty, to zaczęcie przerwaném zostało, pani Schnaps do poprzedzających wyrazów tyle tylko dodała:

— Pomówiomy o tém w Niedzielę.

Przez cały dzień w Piątek, Małgorzata pracowała i nie odważyła się uczynić żadnego zapytania swojéj babce; w Sobotę wieczorem nabrała nieco odwagi, poczyniła zwykłe przygotowania, zapaliła lampkę, przyrządziła lekkie piwo i ciastka; niespodziewając się swoich przyjaciołek, upornie na nie oczekiwała: przyjaciołki nie przyszły.

— Widzisz kochana babko, przyjaciołki nie przychodzą ani gołębie nie wracają.

Pani Schnaps, położyła palec na jéj ustach, i spuszczając głowę swoim tonem wyższości i tajemnicy rzekła:

— Jutro!..

Nazajutrz pani Schnaps odezwała się mniéj więcéj w tych wyrazach:

— Chcesz wiedzieć moja wnuczko, jakie to jest uczucie, które od jednej Soboty do drugiéj taką sprawiło zmianę w trzech twoich przyjaciołkach, które sprawiło iż wzgardziły zabawami przystojnemi, rozrywkami młodego wieku, zaufaniem a nawet przyjaźnią. Teressa powiedziała ci jego nazwisko, kiedy się ciebie pytała, czy wiesz co to jest miłość. Miłość moja Małgorzato, jest to trwożliwy niewolnik który wkrótce staje się najokrutniejszym tyranem, który robi się sługą ażeby zostało panem i lubi panować nad zwaliskami; chcesz wiedzieć co to jest kochanek, Teressa powiedziała ci: jest to piękny mężczyzna porównywający tę którą kocha do najpiękniéjszych rzeczy na świecie, do słońca, gwiazd, który dla niéj miesza na swojéj paletrze najświetniejsze kolory, który dla niéj z mnóstwa najdroższych kamieni jakie mu wyobraźnia przedstawia układa najpiękniejszą koronę.

— Lecz, zdaje mi się, że w tém nie ma nic nieprzyjemnego słyszeć że kto mię porównywa do słońca.

Z zamkniętych ust pani Schnaps wyślizną się ten szyderski uśmiech, jaki wyraża zimną pewność doświadczenia.

— Zapewne, kiedy temu wierzemy, odpowiedziała, lecz kiedy już nie wierzemy, wtenczas podwójnie cierpiemy, za złudzenie które traciemy i za zniweczoną rzeczywistość. Cierpiemy kiedy już nie ma omamienia snu, ani niewinności przebudzenia; cierpiemy żeśmy tak drogo opłaciły jednę chwilę zachwycenia, a znalazłyśmy długie cierpienia w miejsce szczęścia które wiecznem sądziłyśmy. Spojrzyj na pokój w którym jesteśmy: czy nie powiedzianoby że twoja dębowa komoda wysadzona jest djamentami, że stół przy którym pracujesz zasiany jest złotem że muślinowe firanki, przenikłe światłem ślnią się i do sufitu przesyłają siatki z złotego proszku? Zaczekaj, tylko słońce zejdzie z tego okna, a wszystko zwykły cień przybierze; słońce postępuje jak miłość, oświeca to czego dotyka, przyozdabia na chwilę, a gdy zniknie, cienie się rozszerzają noc staje się czarniejszą, samotność okropniejszą.

Zdawało się że słońce w owéj chwili było w zmowie z panią Schnaps; aby jéj porównania wyraźniejszemi uczynić, cofnęło swoje promienie a Małgorzata spoglądając po pokoju przed chwilą oświeconym i błyszczącym, teraz ocienionym i smutnym, zawołała z goryczą:

— Ah babko słusznie mówisz!

Pani Schnaps mówiła daléj:

— Kiedy Teresa, Basia i Tekla wystawiały ci tak piękny obraz swoich kochanków, nie zwodziły cię; nie, one takiemi ich widziały, więc dla nich takiemi są istotnie, lecz to jest skutek złudzenia, moje dziecię. Słońce to ubarwia ich twarze, ożywia ich rysy, upiękna ich mowę. Zaczekaj, niech słońce skryje się za chmurę a zobaczysz.

— Cóż się więc stanie? zapytała Małgorzata; Tekla, Basia i Teresa będą już zawsze nieszczęśliwemi? Czyż już nie ma sposobu przestrzedz je, wskazać im niebezpieczeństwo i zwrócić je od sideł w które wpadają?

— Już zapóźno, odpowiedziała pani Schnaps, przeznaczenie ich jest nieodwołalne, noga ich stąpiła już na spadzistość,, muszą spać po niéj na sam dół przepaści. Gdybyś im teraz powie-

działa: Strzeżcie się, jesteście zwiedzione, za rzeczywistość chwytacie obraz fantastyczny który zniknie za chwilę, słuchałyby cię i śmiały się z twojéj przestrogi,jak śmiały śię z twojéj naiwności. One są oczarowane, każdy wyraz który wychodzi z ust ich kochanków,wydaje im się drogą perłą, którą one starannie w swojém zamykają sercu; każde poruszenie ich postawy jest nowym wdziękiem dla nich, każde spojrzenie zakładem szczęścia obecnego i na przyszłość. Niech czynią co czynią, los ich jest napisany; w piętnastu dniach, w przeciągu miesiąca najwięcéj, ich słońce zblednieje; zobaczą plamy w perłach, cienie w obrazie, późniéj nadejdą chmury nakoniec noc; natenczas nic nie będzie im wydawać się tak okropnie, jak to co wydawało się im tak pięknie.

— Cóż się więc stanie z Basią, Teklą i Teresą.? Nie mogę zapomnieć, że tak długo były mojemi przyjaciołkami, i ich los zawsze mię obchodzi.

— Będą płakały, odpowiedziała babka.

— A potem?

To proste zapytanie w przykre wprawiło położenie panią Schnaps, pomimo jéj głębokiéj znajomości tajemnic serca ludzkiego; ścisnęła

znowu usta podług zwyczaju, a przybierając uroczysty ton wróżki, która chce nakazać wiarę, nie przypuszczając ciekawych do swoich tajemuic:

— Nie pytaj mię o to, odpowiedziała, co nie chcę abyś wiedziała i czego wiedzieć nie powinnaś; chciałam cię tylko ochronić od niebezpieczeństwa, zawierz mi i nie pytaj mię więcéj.

— Ja wierzę ci kochana babko, rzekła Małgorzata, ale pozwól mi przynajmniéj posmucić się. Więc ci piękni kawalerowie, których moje przyjaciołki tak kochają, są straszydła, które nadto drogo sprzedają swoje piękne porównania.

— To nie są ani straszydła, ani anioły, odpowiedziała z powagą pani Schnaps, to są kochankowie, to są mężczyźni, tak samo jak twoje przyjaciołki nie są obłąkane, ani niewdzięczne, chociaż zdradziecko cię opuściły, są to tylko młode dziewczęta, a późniéj dowiesz się z jakich powodów, tajemniczo zmuszeni, kochankowie i młode dziewczęta, wprowadzeni są na fatalną ścieszkę, dowiesz się jak wszyscy zarówno i mężczyźni i kobiety ulegli są tajemnéj władzy, nie zważając pierwsi na nieszczęścia, ja-

kich są sprawcami, drugie na żal, jaki dla siebie gotują. Takie jest życie ludzkie, kto go takiém uczynił? i dla czego? późniéj może o tém będziesz wiedziała, jeżeli jak wiele innych nie pozostaniesz zawsze w niewiadomości.

Pani Schnaps widocznie miała jakiś ironiczny zamiar w tych ostatnich słowach, Małgorzata słuchała jéj z otwartemi ustami, jak skowronek gdy go zdala dochodzi głos wabiku ptasznika. Od kiedyż to babka jéj stała się tak wymowną; skąd nauczyła się tak pięknych wyrazów? Biedne dziecię? była zatrwożona i ciekawa zarazem, obraz miłości skreślony przez babkę wydawał jéj się nadto okropnym, a jednak pragnęła poznać tę nieznaną istotę. To podaje nam sposobność powtórzyć grzecznie pięknym czytelniczkom, prawdę tyle razy zaprzeczaną, że kobiety są z natury odważne.

— Trzej kochankowie twoich przyjaciołek, mówiła pani Schnaps, są istotnie zakochani (nie radabym źle mówić o ludziach), lecz podług właściwego ich sposobu, i podług wyobrażeń nieszczęściem dość prostych, są to uczniowie niedawno przybyli do Berlina, którzy w Niedzielę nie chcą już wychodzić sami na przechadzkę,

to jest nie prowadząc pod rękę kobiety, dla tego, że dawniejsi ich towarzysze wszyscy mają kochanki, i śmieją się z tych którzy ich nie mają. Umówili się więc przed miesiącem, aby wyszukać trzy młode panny, i skłonić je do niedzielnych z niemi przechadzek, za pomocą wyrazów na których nie zbywa nigdy uczniom; otóż powód przyjemnego ich obejścia się, wdzięku, śmiałych porównań ze słońcem i gwiazdami. Lecz za sześć miesięcy będą mieli wakacje, bądźcie zdrowe wówczas Teklo, Basiu i Tereso! a nawet przed upływem sześciu miesięcy, bo uczniowie nie tak dokładne mają pory roku jak jaskułki wędrowne, serca nie ulegają pewnym przepisom, jak podróże ptaków. W sześć miesięcy Teressa, Basia i Tekla płakać będą za kochankami, którzy ulecą.

— Okropnie! zawołała Małgorzata.

— Chcesz wiedzieć, jakiemi będą za sześć miesięcy ci kawalerowie tak grzeczni i uprzedzający teraz? Zaczekaj; pani Schnaps podniosła się, weszła do swego pokoju, i powróciła niosąc pod pachą rodzaj kwadratowych ramek, starannie w adamaszkową serwetę owiniętych. Zdjęła serwetę i okazała swojéj wnuczce z uroczystą postawą zwierciadło.

— Oto jest to, czego nikomu nie pokazywałam, to zwierciadło ma przymiot odbijania wszystkich kochanków, takiemi, jakiemi będą po sześciu miesiącach miłości. Patrz, czy poznajesz tego wysokiego mężczyznę, z wzniosłą postawą, blond włosami, i niebieskiemi oczyma, to jest kochanek Teressy.

— Poznaję, odpowiedziała Małgorzata, lecz dla czegoż jego usta są tak nieprzyjemnie otwarte? czy dla tego aby okazał zęby, jak kość słoniowa białe? Zdaje mi się że on poziewa.

— Zgadłaś moja wnuczko, a jednak jest obok Teresy, która go obsypuje pieszczotami i pyta go ze łzami w oczach o przyczynę jego nudów. On zasypia, bo już sześć miesięcy jak poznał Teresę, bo już od sześciu miesięcy chodził z nią na przechadzkę w każdą Niedzielę, i myśli o innéj pannie, w któréj się kocha od ośmiu dni: to jest, że słońce już się zwróciło i kto inny korzysta z jego promieni, gdy tymczasem Teresa, pozostała w cieniu.

Mówiąc to, pani Schnaps potarła zwierciadło rękawem swéj sukni; i zawołała:

— Patrz!

— To jest kochanek Basi, rzekła Małgorzata. poznaję obraz który mi skreśliła, niski, ogień

w jego spojrzeniu: lecz gdzież jego postawa przyjemna i czuła? Dla czegóż tak siedzi oparty na stole przy kuflu piwa? niewidać go prawie przed kłębami dymu wychodzącego z fajki którą trzyma w ustach. Moja babko zdaje się, że on jest w szynkowni.

— Tak jest istotnie. Siedzi w szynkowni pali fajkę, i kiedy wychyla kufel po kuflu, Basia liczy minuty, ponieważ go oczekuje, cierpi, będąc samą w chwili kiedy miał przyjść do niéj.

Podczas gdy Małgorzata zajmowała się smutnemi uwagi jakiemi natchnął ją widok tak nieprzyjemny, babka jéj potarła drugi raz rękawem sukni zwierciadło i powtórzyła: Patrz!

Małgorzata z łatwością poznała trzeci obraz po niezmiernych wąsach, które zasłaniały wyższą wargę, po wąsach z których Tekla była tak dumną, kochanek ukazał się w postawie stojącéj, wyrażającéj gniew, i miał rękę podniesioną.

— Dla czego on trzyma rękę podniesioną, zapytała Małgorzata, jakby chciał kogoś uderzyć.

— Istotnie chce kogoś uderzyć, a ten ktoś jest twoja dobra przyjaciołka Tekla.

— Zgroza! zawołała Małgorzata.

Po okazaniu tych trzech obrazów, które większy sprawiły skutek Małgorzacie niż rozumowania jéj babki, nastąpiło głębokie milczenie; Małgorzata pierwsza je przerwała.

— Kochana babko, zapytała, jakim sposobem posiadasz tak szacowne zwierciadło.

— Moja wnuczko, odpowiedziała poważnie pani Schnaps, wielki czarnoksiężnik który znał magję białą i czarną i wróżył młodym dziewczętom, już bardzo dawno darował mi je mówiąc: Weź to zwierciadło, może ono uratuje twoję wnuczkę od wielkiego nieszczęścia; gdy przyjdzie czas oddasz je twojéj wnucze.

— Ah babko, dasz mi to zwierciadło.

— Oto je masz.

Małgorzata poskoczyła z radości i kilkakrotnie ucałowała prorocze zwierciadło. Kiedy, pomyślała zaraz, piękny mężczyzna będziemi mówił grzeczności, wychwalał moję postawę i wdzięki, zapewniał że mię będzie kochać wiecznie, poznam radząc się mego zwierciadła, wszystkie i wszystkie jego myśli, i dowiem się ile miesięcy powinna trwać wieczność.

Okazuje się teraz, że Małgorzata uczyniła za-razem dwa wielkie postępy, dowiadując się o lekarstwie poznała chorobę, bez swego zwierciedła wiedziałaby zbyt nadto i zbyt mało, zwierciadło wydawało się dla niéj skarbem nieocenionionym, a co większa, niewyczerpaném źródłem rozrywki.—Jednakże przyszła jéj do myśli ważna uwaga i postanowiła przedstawić ją swojéj babce.

— Jeżeli spotkam mężczyznę wierniéjszego od innych, i jeżeli zwierciadło okaże mi go po sześciu miesiącach tak przyjemnym, jak w chwili spotkania, cóż mam wówczas uczynić?

— Uważać go za kochanka, odpowiedziała babka i zaczęła kaszlać swoim szyderskiem sposobem:

Objaśniona w swoich powątpiewaniach Małgorzata, oddała się radości, pragnęła jaknajprędzé napotkać grzecznych mężczyzn, aby mogła doświadczyć na nich swego talizmanu. Nazajutrz chciała wyjść celem uskutecznienia swego zamiaru lecz zdawało się jéj, że przede wszystkiém powinna przekonać się na Teresi, Basi i Tekli, chociaż babka przedstawiała jéj to bezskuteczném; być może, że w głębi serca chciała się

zemścić za żartobliwe z nią obejście się i okazać im że naiwna Małgorzata przeszła już najrozumniéjsze. Znalazła swoje przyjaciółki, i każdéj powtarzała przybierając ton nadęty, słowa swojéj babki i obrazy zwierciadła.

Powiedziała do Teressy: strzeż się, kochanek twój wkrótce znudzi się twoją obecnością, i widzę go już, jak oświadcza swoją miłość innéj, chociaż tamta nie jest tak piękną i tak przyjemną jak ty.

Teressa rozśmiała się, zapytała jéj od jakiego czasu została kabalarką i dodała, że wczoraj tańczyła cały wieczór i w przyszłą Niedzielę także tańczyć będzie.

Basia prawie tak samo odpowiedziała, oświadczając z dumą że jéj kochanek nie lubi piwa i i nie pali fajki, prosiła ją także, aby ją na przyszłość uwolniła od swoich przestróg.

Tekla wzruszyła tylko ramionami, gdy Małgorzata przepowiedziała że jéj wąsaty rycerz, może miéć obejście nadto gminne.

Małgorzata odwróciła się zasmucona zaślepieniem przyjaciółek, które odrzucały jej rady i wyśmiały się z jéj przeczuć, po chwili jednak tro-

ski jej rozpierzchły się, i zaczęła myśléć o drugim celu przechadzki jéj po mieście.

W téj chwili młody oficer, którego ostrogi głośno z brukiem rozmawiały, przechodząc rzekł do Małgorząty:

— Aniele mój, możesz wiele głów zawrócić, ja sam oddałbym chętnie połowę życia, gdybyś pozwoliła drugą przy twoich nogach przepędzić.

— Zobaczemy, pomyślała Małgorzata.

Po oficerze przystąpił do niéj bogato ubrany pan i rzekł:

— Moje piękne dziécię! masz nóżki tak małe, że idąc możesz je skaleczyć, gdybyś mię nie odrzuciła, ofiarowałbym ci bogate mieszkanie, aksamity i jedwabie, miałabyś powóz na swoje rozkazy, pokojówkę i dwóch galowanych lokai na usługi.

— Zobaczemy, pomyślała znów Małgorzata.

Następnie zbliżył sie do niéj mały, skaczący, utrefiony jegomość i rzekł:

— Jeżeli chcesz pięki a damo, oddam ci połowę tego co posiadam; dobra, pałace...

Małgorzata przypomniała sobie że w romansach zwykle czynią podobne ofiary i jeszcze raz pomyślała:

— Zobaczemy! Zobaczemy!

Wróciła do domu, wzięła zwierciadło, potarła rękawem, jak to babka jéj czyniła i jak kapłanka pytyjska która rozkazywała cieniom, zaczęła radzić się zwierciadła w tych słowach:

— Zobaczemy, panie oficerze, któremu tak wygodnie było przy moich nogach, jakim byłbyś po sześciu miesiącach, gdybym przypadkiem chciała cię wysłuchać?

Spostrzegła w zwierciedle oficera, który z groźną postawą marszcząc brwi mówił do niéj, zwierciadło bowiem wyrażało także w wielkich literach mowę tego, kogo przedstawiało:

— Małgorzato, jestem strudzony, ściągnij mi buty.

Małgorzata śpiesznie potarła zwierciadło, aby spędzić z niego ten okropny obraz.

— Bogato ubrany pan ukazał się naówczas, zachował ton grzeczny i przyjemny, i mówił.

— Mościa panno, raczysz oddać brylanty, które ci dałem, szal kaszmirowy, który w téj chwili okrywa twoje ramiona, i opuścić mieszkanie w którem jesteś; poznałem tancerkę, która mi się więcéj niż wacpana podobała, dozwolisz więc abym przenosząc do niéj serce, przeniósł i zadatki mojéj hojności.

— Takto, panie, rzekła Małgorzata, która w owéj chwili, uważając za rzeczywistość, to bolesne złudzenie, sądziła że mówi do człowieka nie do niemego obrazu, odpychasz mię, po tak zdradzieckiém przyjęciu. W cóż się obróciły twoje przyrzeczenia? Moje nogi nie sąż już tak małe jak niegdyś? nie obawiasz się abym ich idąc nie pokaleczyła? Idź do twojéj tancerki i powiedz jéj, że przed upływem sześciu miesięcy wypędzisz ją, jak mnie wypędzasz w téj chwili.

Podczas gdy Małgorzata tak się żaliła, obraz któremu czyniła wyrzuty, zmienił się na małego, skaczącego utrefionego jegomościa. Niestety! jak jego powierzchowność była nędzną! ubiór jego zapowiadał ubóstwo, tak był chudy, że nie można było na niego patrzéć bez

wstrętu. Trzymał w ręku kawał suchego chleba, i wskazał go Małgorzacie mówiąc:

— Patrz w co się obróciły dobra i pałace, o których ci mówiłem, aby cię zaślepić; lecz ponieważ jestem głodny, przebaczysz więc iż ci nie mogę ofiarować połowy tego co posiadam.

— Zachowaj wszystko dla siebie, zawołała z oburzeniem Małgorzata! Dzięki Bogu nigdy mi nie zbrakło na kawałku chleba, a bakka dała mi skarb, droższy nad pałace i dobra całego świata. Mówiąc to, przycisnęła do serca zwierciadło, i winszowała sobie że posiada podobną tamę która ją zasłania od obłudy i niewierności mężczyzn. Nazajutrz prowadziła daléj swoje doświadczenia, usiadła w oknie, i gdy który z przechodzących mężczyzn, rzucił na nią spojrzenie, w którém czytała oświadczenie nieméj miłości, radziła się natychmiast zwierciadła, a ponieważ za każdym razem sprzeczność obecności z przyszłością przedstawiała jéj obrazy śmieszne i okropne, nie nudziła się więc podobném przepędzeniem czasu. Pewnego poranku usłyszała głośny dzwięk trąb i pobie-

gła do okna; był to pułk jazdy, który maszerował na mastrę. Jezdcy tego pułku mieli najgorszą a zarazem napochlebniejszą opińję. Mowiono że byli niewierni, co dowodziło iż nastręczano im sposobność zostać niewiernemi. Obawiano się ich, co dowodziło iż słusznie byli celem obawy. Przyszła myśl Małgorzacie, uczynić przegląd jednego po drugim całego pułku, podczas gdy na nią będą spoglądać. Wszyscy więc panowie wojskowi defilowali w lustrze Małgorzaty, nie tak młodzi i piękni jak ich oczyma widziała, lecz zaniedbani i dziwaczni, jak po sześciu miesiącach miłości przy swoich kochankach.

Jedni ziewali a nawet zasypiali, jak kochanek Teressy.

Inni, wypuszczali straszliwe bałwany dymu i zapijali piwo, jak kochanek Basi.

Tamci podnosili zamierzoną rękę, jak wąsaty kochanek Tekli.

Widziała młodego oficera, był to piękny blondyn, z piękną, szlachetną postawą, mówił do niéj:

Małgosiu, wszystko wczoraj przegrałem, daj mi twój zegarek, sprzedam go.

Trwało to blisku godzinę przy odgłosie trąb; Małgorzata pierwszy raz strudzona, pomyślała o tém co jéj babka powiedziała: Moja wnuczko, jeżeli spotkasz mężczyznę, który po sześciu miesiącach okaże się takim samym jak pierwszego dnia, weź go za kochanka!, i rzekła do siebie: Obawiam się czy słowa babki nie są zbyt wielkiem odkryciem. Przez godzinę pięćset młodych pięknych mężczyzn przeszło przed memi oczyma, i ani jeden z nich nie był szczery, żadne spojrzenie nie mówiło prawdy. Było to pierwsze uczucie boleści, jakiego doznała Małgorzata, z przyczyny czynionych doświadczeń ze zwierciadłem. Jakże to młode dziewczę, nigdyś nieświadome, żałowało swojéj naiwności. Jakim sposobem Małgorzata nauczyła się tak prędko tych wszystkich rzeczy? Miałżeby czas dla młodości nie liczyć się tak jak dla starości i dojrzałego wieku; są więc wyobrażenia które tak łatwo krzewią się w sercu szesnastoletniém jak bławat w pszenicy.

Od owéj chwili Małgorzata mniéj już wzywała pomocy swego zwierciadła; owoc wia-

domości drzewa złego i dobrego, którym się nasycała z takim zapałem, zaczął wydawać się jéj gorzkim, i pytała się, czy nieszczęście niewiadomości nie lepsze jest niż szczęście poznania.

Nadszedł Maj ze swoim orszakiem kwiatów, chłodnym wietrzykiem, złotemi chmurkami, na polach nadzieja plonów zaczęła kwitnąć, i Małgorzata także rozkwitała. W Niedzielę z swego okna spoglądała na przechodzące wesołe dziewczęta, biegnące ku zielonym przechadzkom które otaczają miasto. Oczy jéj ożywiły się tym widokiem, serce jéj, niegdyś spokojne, gwałtownie bić zaczęło, i drżała gdy do jéj ucha dochodził głos nieznanych żądań. — Często widziała przechodzące Teresę Basię i Teklę, za każdym razem spojrzeniem daleko je odprowadzała, już nie z boleścią téj która widzi swoje przyjaciołki dążące ku przepaści, lecz z pewnym rodzajem zazdrości, myśląc że może Teresa, Basia i Tekla szczęśliwsze są, nie wiedząc tego, co ona wiedziała.

Gdy wyszła i napotkała mężczyzn którzy jéj się oświadczali, nie mówiła już jak dawniéj z pogardą: zobaczemy; cierpiała tylko że nie

mogła uwierzyć ich mowie, czuła potrzebę ufania im, dusza jéj rozdzierała się, walcząc między temi dwoma przeciwnemi uczuciami: złudzeniem które dla niéj stało się tak drogiém i rzeczywistością która ją w rozpaczy pogrążała. Wiosna z każdym dniem obdarzała ją nowemi wdziękami, nabierała mocy, kibić jéj niegdyś wątła zaokrągliła się, w jéj oczach zawsze naiwnych odbijał się jasny kolor nieba i miły blask gwiazd. Twarz jéj okrywała się często tym nagłym rumieńcem który świadczy o niespodzianém wzruszeniu. Nadszedł dla niéj czas miłości, cała natura pobudzała ją do niéj. Niebo i jego błękit, słońce i jego promienie, noc i jéj balsamiczne cienie, wszystkie istoty stworzenia, przybierały głos i przemawiały do niéj: Kochaj, kochaj, a nieprzezwyciężona władza, utrzymywała ją w jéj stałości; nieszczęśliwa wiadomość mroziła życzenia które zaledwie rodziły się w jéj sercu sny jéj kamieniały, jak słaba łódka w porcie na każde powianie zimnego wiatru który nadyma jéj żagle chwiała się przez chwilę i wpadała znów w bezsilność.

Gdy radziła się swego zwierciadła, już nie jaśniał na jéj ustach ten dumny uśmiech, ani ta pewność spokojnego rozumu, która pogardza próżnemi widmami wyobraźni, jéj twarz wyrażała boleść, oczy jéj napełniały się łzami. Jeżeli zwierciadło tylko smutne wystawiało jéj obrazy, dla czegóż chociaż raz nie skłamało?

Pani Schnaps, dostrzegła jéj smutek, i spoglądając na nią tym przenikającym wzrokiem, który do głębi duszy dochodzi, zapytała się:

— Co ci się stało Małgorzato?

Małgorzata uczuła że się zaczerwieniła, i jąkając się odpowiedziała:

— Nic, moja babko!

Kłamała, ponieważ tego właśnie dnia miała męczący sen. We śnie ukazał jéj się młody mężczyzna trzymający klatkę w któréj były trzy gołębie. Jego twarz była przyjemną i melancholiczną, srebrne włosy igrały około jego czoła, w błękitnych jego oczach odbijała się sama tylko niewinność. — Małgorzato, przemówił do niéj harmonijnym głosem, złapałem twoje gołębie, i przynoszę ci je, jakąż za to otrzymam od ciebie nagrodę? Na widok jego

Małgorzata doświadczyła nieznanego uczucia, gdy zobaczyła swoje gołębie, jéj serce przepełniło się radością, a oddana zupełnie tym wzruszeniom, chciała podać rękę pięknemu mężczyznie, uścisnąć ją i powiedziéć: oto twoja nagroda; lecz myśl o zwierciadle natychmiast przebiegła w jéj umyśle, cofnęła swoją rękę i rzekła tylko: — Zobaczemy! Młody człowiek zniknął, poradziła się zwierciadła, które jak zwykle, piękne jéj złudzenie zastąpiło okropną rzeczywistością.

Dla tego to Małgorzata gdy się przebudziła, miała jeszcze łzy w oczach, dla tego to babka dostrzegła jéj smutek i pytała się o przyczynę.

— Małgorzato, rzekła babka nie spuszczając z niéj spojrzenia, widzę że nie jesteś szczęśliwa, wstrzymujesz łzy które wydobywają się z twoich oczu, widzę je, chociaż starasz się je ukryć, nie zwiedziesz mię. Czegóż więc żądasz?

— Żądam, odpowiedziała Małgorzata ośmielając się stopniowo, skrzydeł, jak u ptaków, chcę latać z niemi nad chmurami, powietrze którém oddycham w tym ciasnym i wąskim pokoju

jest za ciężkiém dla moich piersi, tu nie mogę oddychać... umieram...

Tak, tak, rzekła pani Schnaps sciągając swe usta i wydając nieopisane swistanie, i cóżbyś ty robiła między ptakami cóżbyś szukała za obłokami. Lecz jeśli pragniesz oddychać świeżém powietrzem a nie masz jeszcze skrzydeł, to tym czasem użyj nóg twoich. W następującą Niedzielę pani Schnaps ubrała się w najpiękniéjszą suknię ułożyła swe włosy i wyszła z Małgorzatą. Udały się przedmieściem na bulwar najwięcéj uczęszczany, i gdy spostrzegły na przezroczystém tle karmazynowém otoczoném szkłami kolorowemi, napisane wyrazy „*reduta*“ weszli tam. Reduta przeniosła się z sali zimowéj do sali letniéj otoczonéj akacjami i napełnionéj mnóstwem młodzieży i panien; oczy szukały oczu, ręce dotykały rąk, zaufanie błyszczało na wszystkich twarzach. Ten obraz szczęścia nie pocieszył Małgorzaty ale ją zasmucił, usiadła z babką przy oddalonym stoliku. W kilka chwil zbliżył się młodzieniec i zaprosił Małgorzatę do tańca, na skinienie zezwalające babki powstała dziewica i z swym towarzyszem rozpoczęła tańce. Pierwszy to raz uczuła przyjemność balu, w którym

tańcząc przy dobréj orkiestrze była zachwyconą, równie jak ten na którego ręku się wspierała. Małgorzata zapomniała o wszelkich smutkach, które ją przyciskały i oddała się zupełnie roz koszy tańca tak dalece że okropne lustro od którego cały jéj los zawisł, wyszło z jéj pamięci. Gdy wracała do swego miejsca, spostrzegła Teresę Basię i Teklę, lecz nie mogła z niemi mówić, z taką szybkością przeszły obok niéj.

Po krótkim spoczynku przybył drugi kawaler, lecz tym razem pani Schnaps odmówiła swego zezwolenia, albowiem czas się zachmurzał i ochładzał, wyszła więc z swoją wnuczką z tego nowo odkrytego raju, zwanego Redutą. Za powrotem do domu babka i wnuczka usiadły na przeciw siebie, nie wyrzekłszy słowa.... obie były zamyślone.

— I cóż Małgosiu, rzekła nakoniec pani Schnaps, nie radzisz się już twego zwierciadła, niechże ci powie co znaczyły te spojrzenia, które zwracano na ciebie.

— Jestem znużoną, odpowiedziała, Małgorzata.

— Pani Schnaps powstała uśmiechając się lecz wkrotce zajęła to samo miejsce z lustrem w ręku.

— Patrz, jakim będzie z tobą lub z inną za sześć miesięcy ten z którym teraz tańcowałaś.

— Małgorzata podniosła oczy i zobaczyła człowieka okopconego, był to rodzaj cyklopa, miał minę bardzo brudną i prostacką i mówił te słowa z podniesioną ręką:

— Kobieto, już ci raz powiedziałem, jeżeli jutro gdy wrócę rosół nie będzie gorący, strzeż się!

Taki obraz nie zdołał rozpędzić smutnych myśli Małgorzaty; wszystkie jéj żale, wszystkie boleści, wszelkie żądze, wszelkie jéj uczucia bolesne przeszłych dni, zeszły się w tym czasie, i chciała powiedziéć swojéj babce:

— Babko, odbierz twoje zwierciadło, już go nie potrzebuję, wolę płakać za sześć miesięcy jak Teresa Basia i Tekla, niż płakać co dzień jak teraz płaczę.

Pani Schnaps zgadła zapewne to co Małgorzata nie śmiała powiedziéć, ponieważ późniéj odchodząc do swego pokoju pocałowała Małgorzatę w czoło i powiedziała.

— Bądź ostrożną Małgorzato, wiesz już jak gołębie uciekają strzeż się abyś się nie nauczyła jak

ście odlatuje. Nie zważając na tę przestrogę Małgorzata trwała w swojém przedsięwzięciu, następujący dzień więcéj je ustalił. Czyniła nowe doświadczenia, które jeszcze gorszy wydały skutek, postanowiła więc oddać babce to okropne zwierciadło, które z taką radością niegdyś przyjęła. Swoje uprzedzenie przeciwko talizmanowi pani Schnaps, posunęła aż do tego stopnia, że obwiniała go o potwarz, sądziła się być oszukiwaną, nie uznawała jego prawd, i na usprawiedliwienie swego sądu następujące przytaczała dowody: Niepodobna aby wszyscy ludzie byli fałszywi, wszystkie przysięgi adradzieckie, żeby miłość najszczersza nikła jak sen w przeciągu sześciu miesięcy, więc zwierciadło kłamało, a pani Schnaps zmyśliła tylko podobną bajkę żeby ją przestraszyć.

Trzeba więc było tylko wypadku, aby zachwiać nią w jéj niedowiarstwie, tym wypadkiem były odwiedziny Teresy. Teresa była smutna, utrudzona, osłabiona, wchodząc ujęła rękę Małgorzaty i tkliwie ją uścisnęła; łzy płynęły z jéj oczu i zawołała:

— Jestem bardzo nieszczęśliwa!

Jednak dopiero trzy miesiące upłynęły od ostatniego ich widzenia się, dla tego też Małgorzata bardzo się przestraszyła. Pomyślała o zwierciedle i porównała go z zegarem, który z szybkością znaczy godziny szczęścia, a zwolna przechodzi godziny niedoli.

— Mój Boże, rzekła, i tak jest już zbyt okrutne jeszcze się *pospiesza* o trzy miesiące!

Zaczęła płakać razem z Teresą, nie mając odwagi pytać się jéj.

— Jestem bardzo nieszczęśliwa, powtarzała ciągle Teresa... ah! dla czegóżem nie miała rozsądnéj przyjaciołki, którąby mię przestrzegła o sidłach w jakie się uwikłałam? Jakże żałuję teraz naszych szczęśliwych wieczorów sobotnich, naszych niewinnych rozmów i loteryjki. — Przypomnienie loteryjki w umyśle Teressy, wydawało się Małgorzacie znakiem okropnego nieszczęścia.

— Cóż ci się stało?.. twój kochanek...

— Nie ufaj nigdy minie kochanka, odpowiedziała Teresa, mój już mię nie kocha, i opuszcza mię.

— A Basia? zapytała Małgorzata..... Tekla?

— Teresa mocnym tylko potokiem łez odpowiedziała.

Małgorzata wówczas musiała przyznać że jéj zwierciadło nie było potwarcą, i mówiło prawdę. Wypadek ten pozostawił w jéj umyśle bolesne wrażenie. Jeżeli bowiem zwierciadło mówiło o prawdę, trzeba więc było udawać się do niego i słuchać jego rad, — lecz jeśliby nie spotkała wzorowego mężczyzny jakiego babka przyjąć pozwoliła, co czynić? jak przykre położenie! z jednéj strony nieszczęście, z drugiéj niepodobieństwo, zapora nieprzebyta; z obu stron żądza i chęć wiadomości, dwie rzeczy które się nigdy nie zgodzą!

Pewnego dnia gdy pani Schnaps wyszła odnieść robotę, a Małgorzata pozostała sama w swoim pokoju rozmyślając nad dziwaczném swojém położeniem, zastukano lekko do drzwi. Małgorzata otworzyła, i jakież było jéj zadziwienie gdy zobaczyła młodego mężczyznę, trzymał w ręku klatkę okrytą jedwabną chustką, był on piękny, widać w nim było pomieszanie

i szczęście zarazem; długie rzęsy ćmiły blask błękitnydch oczu; świeżość wiosny malowała się na jego twarzy. Był to zupełnie portret osoby ktorą Małgorzata widziała we śnie. Podniósł jedwabną chustkę, która okrywała klatkę Małgorzata spostrzegła trzech gołąków które na jéj widok zaczęły trzepotać skrzydełkami.

— Panno, rzekł nieznajomy, przynoszę ci ptaki które do ciebie należą i jestem szczęśliwy że zdołełam je wynaleść.

Małgorzata przypatrzyła się gołąbkom, były te same, poznała je wszystkie po szczególnych cechach które je odznaczały. Pierwszy miał pod szyjką czarnę plamkę, drugi skrzydła mieniące, a trzeci czubek na głowie, błyszczący się od promieni słońca.

— Moje gołąbki! — moje drogie gołąbki! zawołała Małgorzata z najżywszą radością! dla czegóżeście mię opuściły... niewdzięczne?! i dla czego trzeba było zmuszać was do powrotu?

— Jaką otrzymam zato nagrodę, zapytał młodzieniec głosem blagalnym. Połamałe m dużo krzaków ścigając twoje gołębie, pokaleczyłem sobie palce, nie zważałem na niebezpieczeństwo

i trudy, wiedziałem bowiem, jak drogie były dla ciebie te gołębie, i oddałbym życie, aby ci je powrócić.

Rumieniec okrył twarz Małgorzaty, drżała, słysząc te wyrazy, sen jéj, cały zmienił się w rzeczywistość. Lecz zkąd dowiedział się młodzieniec że jéj zginęły trzy gołębie? jak je wynalazł? Nie śmiała uczynić mu tego zapytania, pytała się bowiem o to saméj siebie: jakiéjże on żąda nagrody, i jaką nagrodę mogę mu ofiarować?

— Pani, mówił daléj młodzieniec, powiem ci istotną i szczerą prawdę, nigdy bowiem kłamstwo nie postało na moich ustach. Jestem już wynagrodzony tém, co uczyniłem, znałem cię, widziałem, i pragnąłem mówić z tobą, słyszéć cię. Dzięki więc twoim gołąbkom, które dziś przyprowadziły mię do ciebie! Lecz teraz, mamże odejść bez nadziei zobaczenia cię znowu? Czy nie czytasz w mojém sercu? Czy nie dostrzegasz uczucia którego nie śmiem ci malować, czy raczysz zezwolić abym się nazywał twoim przyjacielem?

Nigdy jeszcze Małgorzata nie słyszała głosu tak miłego, wyrazów tak harmonijnych. Postę-

powanie nieznajomego, jego poruszenia, wyrażenie jego spojrzeń, tworzyły dla niéj rozkosnzy ogół o jakim nigdy nie marzyła. Czyż mogła przypuścić aby takie wyrazy były zdradzieckie, aby postać tak szczera ukrywała fałszywe serce.

— Panie, odpowiedziała, nie zależę od siebie, mam babkę, ona kieruje mojém postępowaniem i czuwa nad mojemi czynnościami. Powiem mojéj babce, jeżeli ona zezwoli, będę szczęśliwą skoro będę mogła powtórnie mu podziękować.

Małgorzata mówiąc o babce, myślała o zwierciedle, jego to chciała się radzić; albowiem odwiedziny Teresy sprawiły na niéj gwałtowny skutek, i nie chciała narażać się na nieszczęście, które mogła przewidzieć.

Nieznajomy spoglądał na nią czas niejaki w milczeniu z wyrażeniem poddania się, boleści i prożby, późniéj odszedł pożegnawszy Małgorzatę poruszeniem ręki.

Małgorzata pobiegła do zwierciadła, pierwszy raz z zaufaniem, zwierciadło mogło tylko szczęście jéj zapewnić. Znalazła nakoniec ten ideał który od tak dawnego czasu z tak gorącém życzy-

niem ścigała. Szybko potarła rękawem prorockie zwierciadło, lecz w chwili gdy miała w nie spojrzéć dreszcz ją przebiegł, obawiała się, jeżeli obraz który jéj sercu wydawał się tak miły tak czysty, zmieni się w potwór, jeżeli złudzenie które pieściła jak najdroższy skarb roztrzaska się dotknąwszy się dotknąwszy się przyszłości! Jestem szczęśliwa, mówiła do siebie, ponieważ wierzę w szczerość nieznajomego, jeżeli zwierciadło utwierdzi mię w tém co czuję, cóż na tém zyskam? będę wierzyć jak dawniéj wierzyłam. Lecz jeżeli sprzeczność mi okaże, stracę wszystko, rzeczywistość i złudzenie. Moja wiara stanowi dla mnie szczęście, dla czegóż narażać się na jego utratę dla czegóż odrzucać to co mogę zatrzymać?

Na ten mylny wniosek, był ten prosty zarzut: a niebezpieczeństwo? Małgorzata sądziła odbić zwycięzko ten zarzut, mówiąc. Niebezpieczeństwo nie jest tak bliskie, nie zobaczę już może nigdy tego młodzieńca, a jeżeli mój widnokręg się zachmurzy, zawsze dość będę miała czasu poradzić się zwierciadła. Widzimy w jaką przepaść zapuszczała się Małgorzata; lecz w uszach jéj brzmiał jeszcze dzwięk głosu nieznajomego

a zapomniała już o rozsądnych przestrogach babki, nauka dopóty odnosiła tryumf dopóki się uczucie nie pokazało ,teraz zaś gdy uczucie wyszłona jaw, biedna nauka zawstydzona, ukryła się pełna obawy, aby nie była zwyciężoną.

Małgorzata nie mówiła nic babce o tém co się wydarzyło i wymyśliła małe kłamstwo aby wytłomaczyć powrót gołębi, lecz najmniéj dziesięć razy przez dzień siadała w oknie. Około godziny siódméj wieczorem nieznajomy przeszedł pod oknem, trzymał w ręku bukiet niezapominajek, i wzniósł go w górę, jak gdyby chciał przez to okazać cześć Małgorzacie.

Ten delikatny sposób wyrażenia swojéj miłości, zwiększał uczucie Małgorzaty. Nazajutrz o tejże godżinie, nieznajomy tym samym sposobem powtórzył swoje oświadczenie; ze strony Małgorzaty było to postępowanie heroiczne, że ani pomyślała poradzić się zwierciadła. Kiedy nieznajomy przechodził, otwierała okno i dozwalała sercu cieszyć się szczęściem jakie jéj ten widok sprawiał.

To trwało piętnaście dni, dnia szesnastego młodzieniec przechadzał się jeszcze pod oknem Mał-

gorzały lecz z postawą smutną, nie miał już w ręku bukietu z niezapominajek. Ta zmiana mocno niepokoiła Małgorzatę. Następnego dnia rano odebrała list następujący.

Pani!

Muszę koniecznie widzieć cię, zezwól abym przyszedł do ciebie; przyrzekam ci okazać się z szacunkiem i uległością, przyniosę ci piękny bukiet niezapominajek.

podpisano Wilhelm.

Małgorzata sądziła iż nie powinna odpowiedzieć na ten list, jak dawniéj stanęła tylko w oknie lecz Wilchelm nie okazał się, po ośmiu dniach odebrała list który zawierał te słowa:

Jeżeli dziś o ósméj godzinie, nie znajdę cię przy dziesiątym kasztanie wielkiéj alei, zabiję się.

List był kreślony drżącą ręką, widać było, że ten kto go pisał mocno był wzruszony. Małgorzata kilka razy go odczytała, przez cały dzień zostawała w śmiertelném wachaniu; udać się na miejsce schadzki było złém, lecz dozwolić umrzéć człowiekowi, który jéj oddał gołębie, było nadto okrutnie. Do w pół do

ósméj godziny przechodziła nieustannie z jednéj myśli do drugiéj, nakoniec postanowiła zobaczyć nieznajomego i pobiegła pod dziesiąty kasztan wielkiéj alei. Wilhelm oczekiwał, na nią i pokazał jéj pistolet ukryty w kieszeni surduta, dowód że miał istotnie zamiar odebrania sobie życia. Niepodobna wątpić o miłości posuniętéj do samobójstwa; przy blasku księżyca rozmawiali blisko półgodziny, Wilhelm czynił najszczytniéjsze oświadczenia, a odchodząc pocałował Małgorzatę.

Było to pierwsze pocałowanie które odebrała Małgorzata, wstrząsnęło one całą jéj istnością.

Małgorzata powróciła do domu z zamiarem poradzenia się zwierciadła; zamknęła się w swoim pokoju i pobiegła do szafki w któréj go zwykle chowała, lecz ułamek stłuczonego szkła trzasł jéj pod nogą, spusciła oczy i ujrzała zwierciadło na drobne kawałki potłuczone, w téjże chwili usłyszała płaczliwe miauczanie, był to jéj kot który ze spuszczonemi uszami przyznawał się do winy, i błagał przebaczenia.

Rozpacz Małgorzaty trudno opisać, zwierciadło słuczone, w chwili, kiedy było najpotrzebniéj

szém, cóż miała czynić? Zwierzyć się babce! Lecz jakże okropne wyznanie! Jednak nie wachała się i otworzywszy drzwi które przedzielały jéj pokoj od pokoju pani Schnaps, postępowała prosto do łóżka babki. Łóżko było próżne, wołała, nikt nie odpowiedział...Babko babko, wołała, twoja wnuczka cię wzywa przybywaj mi na pomoc... Nic! kot tylko szedł ciągle za nią i miauczał grobowym głosem. Rzecz dziwna. Łóżko nie było nawet usłane. Małgorzata wiedziała że babka wieczorem nigdy nie wychodziła, co pomyśléć? Usiadła przy łóżku płacząc, lecz gdy błędnym rozpaczającym wzrokiem prowadziła na około izby; ujrzała w jednym kącie kupkę popiołu a na niéj papier zwinięty; podniosła go i przeczytała co następuje.

„Byt mój przywiązany był do zwierciadła które ci dałam; zwierciadło słuczone, moje życie zgasło. Już dwanaście lat jak babka twoja umarła. Nie byłam twoją babką, przyjęłam tylko jéj rysy aby być przy tobie, albowiem kochałam cię i pragnęłam uchronić cię od sideł w jakie wpadają młóde dziewczęta.“

Oby niebo sprawiło, aby moja pamiątka zastąpiła moję obecność przy tobie.

Żegnam cię, Wieszczka Scientcja.

Małgorzata nie chciała wcale odłączyć wieszczki Sciencji od babki Schnaps i opłakiwała jednę pod rysami drugiéj; przez cały miesiąc ciągle się modliła, a Wilhelm wcale się nie pokazywał. Po upływie miesiąca przyszedł do Małgorzaty, i powiedział jéj, że dowiedziawszy się o śmierci jéj babki, nie pokazywał się ponieważ szanował jéj boleść, lecz ciągle o niéj myślał. Nie wspomniał jéj o miłości, ta delikatność podobała się Małgorzacie. Odwiedziny jego stały się częstszemi, był zawsze dobrym i przyjemnym. Małgorzata z coraz większą zaczęła z nim postępować poufałością, z razu mówiła do niego panie, póżniéj panie Wilhelmie na ostatek tylko Wilhelmie, i wówczas poszli na *redutę*.

Przez dwa miesiące Małgorzata kosztowała szczęścia pierwszéj miłości, lecz nie bez obawy. Pamiątka okropnego zwierciadła i doświadczeń jakie czyniła, była chmurą która zacieniała najpiękniéjsze jéj dni. Kiedy Wilhelm był smutny, wzrok jego więcéj roztargniony jak zazwyczaj, stawała się melancholiczną i pytała się saméj siebie? Czy już słońce moje zachodzi?

W pięć miesięcy, Wilhelm przyszedł do niéj w ubiorze podróżnym, był mocno pomięszany; Małgorzata przeczuwała wielkie nieszczęście.

— Małgorzato, rzekł do niéj, matka moja jest niebezpiecznie chora, wzywa mię abym do niéj przyjechał do Frankfortu; odjeżdżam, lecz powrócę.

Małgorzata zrozumiała wszystko, i chociaż nie spodziewała się już zobaczyć go, miała jednak tyle odwagi, iż z uśmiechem powiedziała mu: do widzenia, ale kiedy oddalił się, łkania wydarły się gwałtownie z jéj piersi.

Na cóż jéj się przydało mieć wieszczkę Sciencję za matkę chrzestną.

TAJEMNICA.

I.

Było to w miesiącu Grudniu, pewnego dnia mroźnego, pochmurnego i nader przykrego, a mgła gęsta okrywała ziemię żałobnym swym płaszczem, tak że własnéj swéj ręki wyciągniętéj nie można było rozpoznać! Odgłos dzwonów

rozlegający się głucho w powietrzu, oznajmiał, że czas niepożyty, jeszcze jeden kwadrans przyłożył do chwil ubiegłych po ośméj godzinie rannéj, gdy nagle zagrzmiały dwa silne i ciężkie uderzenia w bramę.

Hola! tak nie uchodzi. Po takim wstępie, mógłby się czytelnik spodziewać że ujrzy wyprowadzone na scenę: zamki, łańcuchy, mosty zwodzone, czcigodnego jakiego więźnia (n. p. prawdziwego dziedzica zamku) z długą białą brodą, słabego, zniszczonego, strawionego aż do kości, długéim przebywaniem w lochach podziemnych; żądałby może przynajmniéj pięciu przeniewierzeń się, trzech morderstw, albo chociaż jakiego widma krwawego z dziwnemi, tajemniczemi odgłosami. Oczekiwanie to czytelnika byłoby zawiedzione, przeto stosowniej będzie jeszcze raz, lecz w sposób odmienny, zacząć. A więc:

Był to ranek mroźny, mglisty i posępny w Grudniu, gdy o godzinie kwandrans na dziewiątą, Molly Mopsley z domu pana Mondschein, wyszła z kuchni w duterenach, zupełnie opatrzona i przygotowana do zaczęcia swoich codziennych zatrudnień. Chociaż nie miała wię-

céj jak dwoje rąk, jednakże w nich i pod pachą niosła kubeł z wodą, ścierkę, skrobacz, szczotkę, koszyk z węglami, wiązkę drewek, zapaloną świecę i mieszek.

Stąpanie Molly, spłoszyło kogoś, który cicho i ostrożnie odsunął właśnie rygiel, i już miał zakręcić kluczem w zamku od drzwi wychodowych (tego tylko bowiem nie dostawało, aby swobodnie uciec) lecz skoro nadeszła, odwaga go odstąpiła i szybko skrył się za stołek odźwiernego, kto on był, co robił lub zamierzał robić albo już zrobił w domu, o tém nic wcale nie wiemy, również niepodobna nam jest donieść czyli był młody lub stary, przystojny albo brzydki, albowiem otulił się mocno swoim kolistym płaszczem.

„ Ah! mruknał pod nosem w czásie kiedy się chował za stołek, czegóż to nakoniec chwytać się potrzeba! komu by..... i zamilkł.

Już to jest od dawna dowiedzione, że mało kto poprzestać chce na swoim stanie: Molly Mopsléj nie mogła w téj mierze stanowić wyjątku od powszechnéj reguły. Złożywszy na ziem'

nowy ciężar, przyklękła dla roz palenia ognia w sieni, i przytém zaczęła sama z sobą rozmawiać.

Bydź służącą, to nieznośnie, okropnie. Musi ona wstawać najraniéj, a kiedy drudzy wygodnie grzeją się u ognia, który rozniecila, musi na klęczkach drżąc od zimna, skrobać kamienne schody przed domem poki nie będą białe jak śnieg a jéj nos nieumarźnie.— Ah! kubeł! ile razy na niego spojrzę, przypomina mi się mleczarz. Żebym go tylko jeszcze raz zobaczyła, zaraz bym mu powiedziała *tak*, aby wnet zostać panią. W tém zakołatano mocno do drzwi.

— Panie Boże! zawoła Molly, upuszczając zrąk mieszek, ale jakie też że mnie dziecko... to pewno listy z poczty przynoszą.

Zanim Molly ochłonęła z strachu, nieznajomy wpłaszczu zakręcił kluczem, otworzył drzwi i wybiegł nagle na ulicę.

— To osobliwość, rzecze wchodząc Stumper roznosiciel listów.

— Kto tu acana wpuścił? zapytała Molly.

— Ktoś co zarazem siebie samego wypuścił, jakiś człowiek w szeroki płaszcz otulony.

— Ależ ja nikogo tu nie widziałem, a przecież z miejsca się nie ruszyłam. Ktoby to mógł bydź, powtorzyła Molly.

— Do pana Mondschein, dwa grosze, rzekł Stumper nie zważając na zapytanie, i podając list. „Weź go, weź Molly, bo nie mam czasu.“

— Tylko się wacpan nie spiesz tak bardzo, chciałabym koniecznie dowiedzieć się, co to za mężczyzna w płaszczu. Zaczekaj nieco, niech Lubberly odźwierny przyjdzie, może się co od niego dowiemy. Prócz tego listy do mnie nie należą, to jest rzeczą odźwiernego.

Nie możemy zapewnić, czyli roznosiciel listow uczynił ofiarę z drogiego swego czasu przez wzgląd na systematyczny podział pracy, jaki w wielu domach bywa utrzymywany dla podsycania lenistwa, dość że nim się zdobył na odpowiedź, dały się słyszeć ciężkie kroki pana Lubberly i wnet ukazał się spasły odźwierny poziewając i kończąc zapinanie kamizelki na wystającym brzuchu.

— Mości Lubberly, dwa grosze, powtorzył roznosiciel listów.

W czasie, kiedy odźwierny szukał po kieszeniach, i powoli dobywał z prawéj kieszeni jeden grosz, a z lewéj drugi, opowiedziała mu Molly o dziwném zjawieniu się mężczyzny w szerokim płaszczu, który tylko co wymknął się z domu.

— Co? krzyknie Lubberly, czyby pan tak rano wyszedł? to nadzwyczajnie.

— To nie był pan Mondschein, powie Stumper, roznosiciel listów, ale ktokolwiek on był, zdaje się, że niebardzo godziwe rzeczy miał tu do czynienia.

— A płaszcz! przerwie Molly, nasz pan nigdy płaszcza nie nosi.

— Osobliwie, zawoła Lubberly, bardzo osobliwie, to nie mógł być pan, bo chociaż on stoi na czele bankierskiego domu Mondschein et Comp: przecież, jak zapamiętać mogę, nigdy jeszcze przed dziewiątą do czynności nie wychodził. — A jednakże, któżby to nareście mógł być? Znasz panie Stumper wszystkich ludzi w domu i mógłbyś.....

— „Powiadam wam, przerwie Stumper, że to nie był pan Mondschein, nieznajomy był daleko młodszym.

— Młody człowiek? zawoła Molly, którą te wyrazy uderzyły, także to?... Patrzcież, niechcę ja nikogo obmawiać, ręczę za siebie i za wszystkie dziewczęta służące w tym domu; rozumiem że za panią i za pannę Julijannę, *mogłabym* także *może* zaręczyć, a oprócz tych, żadnéj więcéj kobiety w domu nie ma, jak tylko pani Lacer garderobianna jejmości!

— Molly, trzymaj język za zębami, przerwie, Lubberly.

— Wszakże ja nic przeciwko niéj nie mówię nie jest moim zwyczajem, źle o ludziach myśléć; ale muszę przyznać, że mi się to nie bardzo podobało, jakem u niéj zobaczyła przeszłéj Niedzieli znów nową jedwabną suknię.

— Tak, dodał roznosiciel listów, rzecz jest dziwna, ale mnie bynajmniéj nie obchodzi, ja pilnuję mojéj służby. Ale kiedy spojrzał na swój zegarek, zamiłowanie jego w gorliwéj służbie, doznało niejakiegoś zachwiania, albowiem dodał: zagadałem się tu nadto długo, i teraz zapóźno roznosić listy; a zatém zjem wprzód śniadanie, a ludzie niech sobie poczekają.

— Ah. kochany panie Stumper, zaczął Lubberly, prowadzisz rozkoszne życie, ja tu muszę od rana do nocy siedzieć na stołku przed

ogniskiem, gdy tym czasem, pan nie masz nic innego do roboty jak, swobodnie się po ulicach przechadzać.

— Tak, że mi mało nogi nie poodpadają. Sześć mil co dzień wydeptać, spodziewam się że to nie zabawka. Gdybym kiedy niekiedy cokolwiek sobie nie wytchnął, jużbym dawno nie żył.

— Jakiego rodzaju wytchnienia używasz pan, mości Stumper?

— Ot, kiedy wieczor piękny, a czynność się ukończy, przejdę się kilka razy po ogrodzie, dla swieżego powietrza, zaś w Niedzielę idę sobie do Windsor, odwiedzić moją przyszłą.

— Hm, pomyślał sobie Lubberly po odejściu roznosiciela listów, jednakże to jest dziwne zdarzenie. Bogu dzięki że nie jestem odpowiedzialny za srebra.

— Srebra są wszystkie, nie tknięte, odpowie Molly, ale nowa jedwabna suknia, druga w przeciągu sześciu tygodni, téj bezwątpienia pewna osóbka, nie mogła sobie z zasług sprawić. — Nie dosłyszał ostatnich słów dość cicho wymówionych, Lubberly, który był wielbicielem pani Lacer, częścią z powodu jéj oso-

bistych przymiotów i wdzięków, częścią zpowodu że była w wielkich łaskach u saméj pani.

— Musiemy jednakże tego dociec, rzecze odźwierny siadając w swojem wygodném krześle, a ponieważ już całą godzinę czuwał, przeto oddał się słodkiemu spaniu.

— Tak mi cała ta historja chodzi po głowie, pomyślała Molly, że nie jestem w stanie dziś zamiatać. Mogą sobie schody przede drzwiami czekać do jutra. Zabrawszy wszystkie swoje sprzęty, Molly zeszła na powrót do kuchni.

II.

Sir Simon Stanch był sobie wschodnio-indyjskim kupcem, który z ogromnym majątkiem, odsunął się zupełnie od interesów handlowych. W ostatnich dziesięciu latach, mieszkał w pięknych dobrach, które sobie kupił, nie zwiedza-

jąc, ani nawet pragnąc odwiedzić Londyn. W pięćdziesiątym dziewiątym roku (taki był wiek Sir Simona) ludzie bywają częstokroć obojętnemi na uciechy stolicy, jakie ich w młodym wieku zajmować mogły, a Sir Simon, nigdy nawet w swoiej młodości, za niemi się nie ubiegał. Cóż go więc teraz sprowadzało do Londynu? Domyślał się sam, że się na śmieszność wystawia. Pięćdziesiąt dziewięcio-letni chce się żenić z dziewietnasto-letnią! Wdowiec od lat dwudziestu, bezdzietny, czy nie mógł dłużéj wdowcem pozostać? Tak on sam rozumował, nie zaś my łaskawy czytelniku.

Dawna przyjaźń łączyła go z panem Mondschein; niegdyś robili bardzo znaczne interessa; to wszystko jednak trudno aby było dostatecznym powodem do ożenienia się z córką pana Mondschein. Oprócz tego Sir Simon nie widział panny Juljanny od jéj dziewiątego roku, nawet nie przypominał sobie już jak wyglądała, ani mógł sobie wyobrazić coby to była za osoba. Z tém wszystkiém ojciec jéj, w czasie perjodycznych raz na rok, około jesieni, odwiedzin, zapewniał go, że jego córka jest naj-

pięknieýszą najlepiéj ułożoną, najprzyjemniéjszą, najcnotliwszą, słowem wzorem doskonałosci... jak każda młoda panienka, którą mają za mąż wydać. Trzeba bowiem wiedziéć, że przy tych odwiedzinach zamęźcie to ułożone zostało, łącznie z pewnemi układami pieniężnemi, Pan Mondschein nie przepomniał wreszcie zapewnić, że serce jego córki było wolne, i wola ojca w każdéj rzeczy wolą córki.

Wszystko to było bardzo dobrze i pięknie, ale pan Simon Stanch pomyślał sobie, że nie zaszkodziłoby, przed przystąpieniem do rzeczy, samemu zobaczyć i usłyszyć. W takiéj myśli utwierdził go list odebrany od przyjaciela Mondschein, pięcioma dniami przed dniem w którym nasze opowiadanie zaczęliśmy. List ten miał swój cel, chciano zamęźcie przyśpieszyć i w téj mierze zwrócono uwagę, na potrzebę i konieczność, uporządkowania pieniężnego interessu. Ponieważ pan Mondschein był bankierem, a zatém człowiekiem niewątpliwéj rzetelności, i równie niewątpliwego majątku, przeto uwaga powyższa mogła była przyszłego narzeczonego utwierdzić w powziętym zamiarze, przekonania się naocznie

o stanie rzeczy, lub też przeciwnie. Sposob, w jaki sir Simon uskutecznił nowy zamysł, będzie się niezawodnie każdemu wydawał bardzo dziwaczny, ale pan Stanch był w ogólności oryginałem, a zatém w téj mierze nie ma nic do nadmienienia.

Ktokolwiek ma w rodzinie jaką tajemnicę, a pragnie żeby się nie wyjawiła, radzę mu żeby jéj służącym nigdy nie powierzał. Nie przeto ażeby oni tym lub owym sposobem nie zdołali ją namacać, ale że przypuszczając ich do tajemnicy z dwóch względów czyniemy ich niewiernemi. Najprzód odejmujemy im rozkosz wykradania, że tak powiem, tajemnicy, co dla nich jest daleko milszém zatrudnieniem, jak służba, powtóre pozbawiamy ich możności (rozumie się jeżeli są ludźmi z charakterem), udzielania znajomym powierzonéj tajemnicy. Powtarzamy zatém że służący potrafią odgadywać sekreta familijne i pan Simon Stanch widocznie podzielał nasze zdanie.

Zostawiliśmy odźwiernego Lubberly drzémiącego w wygodném krześle w którém byłby najpewniéj cały dzień przespał, gdyby go mocne kołatanie do drzwi nie obudziło.

— Czego chcesz? zapytał człowieka w surducie długim, pod samą brodę zapiętym, mającego szyję obwiniętą ogromną chustką.

— Przynoszę list do pana Mondschein, i mam czekać na odpis.

— Nie wiem czy pan jest w domu, odpowie Lubberly który zaczął mniemać że to był ten sam człowiek w szerokim płaszczu, ale dowiem się.

— Nie trudź się na próżno, zawoła pani Lacer właśnie nadchodząca z góry, pan jest w domu ale tak bardzo zatrudniony w swoim gabinecie, że do dalszego rozkazu chce żeby mu nikt nie przeszkadzał. Przynajmniéj tak pani oświadczyła, i kazała cię o tém uwiadomić.

— Więc proszę mi pozwolić zaczekać tu cokolwiek, odpowie człowiek. Przyrzeczono mi talara jeżeli przyniosę odpis, a jeżeli nie, dostałbym tylko srebrnik a daleką mam drogę.

— No to sobie usiądź przed kominem, rzecze Lubberly. Po niejakiéj chwili odezwał się znowu. „Jesteś tragażem? hę!

— Tak jest, lecz gdybym chciał, byłbym czém inném.

— Od kogo ten list.

— Nie wiem. Dał mi go jakiś pan który ze-

szłéj nocy przybył pocztą z lekkim tłomczkiem, na którym nie było żadnego nazwiska.

— No, przecież się w liście musiał podpisać, hę! rzeknie Lubberly i zrobił poruszenie jakby chciał w środek listu zajrzéć.

— To się na nic nie przyda, powie nieznajomy, list jest w kopercie nowomodnéj.

— Niech djabli wezmą tego co taką kopertę wymyślił, nie można w środek listu zajrzéć, żeby jedno słówko uchwycić... Ale pieczątka?

I w tym punkcie chybiła celu, chwalebna ciekawość odźwiernego, albowiem pieczątka przedstawiała główkę starożytną.

— Szkoda wielka, powie pani Lacer, że ten biedny człowiek na próżno trwoni czas, ponieważ pana nie ma w domu, i zapewne nie powróci aż w wieczór.

— Zdaje mi się, zrobił uwagę Lubberly, że pani dopiero powiedziała, iż...

— Co cię to obchodzi, zawoła pani Lacer, nie ma go w domu, i o to nawet ostatniéj nocy nie kładł się wcale do łóżka. Opowiem ci jak się o tém wszystkiém dowiedziałam. Przeszłéj nocy przyszła do mnie pani, i kazała po-

wiedzieć służącemu, że może pójść spać, jeżeli chce, ponieważ pan już się położył i nie będzie go potrzebować. Służącemu zdawało się to jakoś dziwnem, i chciał dziś rano wejść do pokoju pana, ale znalazł drzwi zamknięte. *Zamknięte*! Lubberly!... w tém jest coś. Służący narobił hałasu, dopóki nie znalazł klucza, którym drzwi otworzył. Gdy wszedł, nie znalazł sukien do czyszczenia, owszem wszystko było w porządku, co dowodzi, że pan nie nocował.

— Taką rzeczą mamy już, pani Lacer.

— Co mamy?

Tu dopiero opowiedział odźwierny dziwną historję o człowieku w szerokim płaszczu, przy czém pani Lacer często odzywała się z znakami zadziwienia. I Molly też na to nadeszła, przynosząc odźwiernemu gazetę, którą właśnie podrzucono.

— No i cóż, dowiedzieliście się czego? zapytała ostatnia.

— Tyle tylko, powie Lubberly, że to nie był nasz pan.

— Wiedziałam o tém dobrze, odrzeknie Molly, spojrzawszy ostro na panią Lacer:

— Ale, ale, Lubberly, przerwie pani Lacer, odpraw tego poczciwego człowieka- Mój Boże on zasnął.

— W takim razie nie trzeba go budzić. Musi być bardzo zmordowany, dodał Lubberly poziewając, a nie godzi się budzić ludzi, którzy spią smacznie.

Lubberly tym czasem wziął gazetę, i zabierał się właśnie do czytania, gdy wtém dał się słyszyć z góry głos: Dać gazetę na górę, jak tylko przyniosą, pani chce ją natychmiast czytać.

— Jeszcze nie przyniesiona, odpowiedział odźwierny, i rozparłszy się wygodnie w swojém krześle, i wyciągnąwszy nogi przed kominem, zaczął sobie czytać gazetę. Jeszcze pierwszéj stronnicy nie przeczytał, gdy nagle wykrzyknął: „Co to jest, pani Lacer, Molly? i na domaganie się ich przeczytał w głos artykuł, który spowodował powyższe wykrzyknienie, a który tak brzmiał:

Panowie Mondschein i komp:. Jesteśmy ośmieleni, ogłosić, że artykuł w jednéj z gazet wczorajszych umieszczony, który przez osoby nieżyczliwe, mogłby być zrozumiany ze szkodą

i uszczerbkiem dawnéj i ustalonéj firmy, jest zupełnie fałszywy i bezzasadny, i że osoby skompromitowane w tak niegodziwym postępku, nie zaniedbają kryminalnie postepować przeciwko wydawcom, zecerom, presserom, drukażom, chłopcom i wszystkim tym którzy w czém, kolwiek mieli udział w artykule potwarczym.

Myślałby może kto, że dawna, ustalona firma, uniosła się nieco gniewem z mniéj słusznych powodów; ale Lubberly nie podzielał tego zdanii i rzekł:

Rzucać podejrzenie na świetny stan naszego domu, kiedy my jesteśmy tak bogaci, jak całe Indje! to haniebnie!

— Pomimo naszych domów w mieście, i na wsi, pomimo naszych pojazdów, karet, loż w obu teatrach, dodała pani Lacer!... to jest oburzające.

— Pomimo tego, dodała Molly że młodzi towarzysze, subjekci, utrzymują sobie kabrjolety, strzelców i Bóg wie co więcéj. To niegodziwie.

W téj chwili nadszedł także Sifter, lokaj pana Mondschein.

Słuchaj Sifter, zawoła doń odźwierny, co się to wszystko znaczy? Czy pan w saméj rzeczy nie nocował dziś w domu?

— W tém się cóś ukrywa, odpowie lokaj, bo użyto wszelkich środków ostrożności, ażeby jego nieobecność była zatajoną.

— A właśnie pani kazała oświadczyć że jest zatrudniony w swoim gabinecie.

— Doprawdy? nie ma pięciu minut jak mi sama mówiła że pan wyszedł na śniadanie.

— Kiedy tak, odezwie się Molly z cicha do odźwiernego, być więc może, że to on był owym człowiekiem w szerokim płaszczu.

— Jak się wam, zdaje, powie daléj Sifter, pani dopiero co kazała Tomaszowi stangretowi, który mi zaraz pod sekretem to doniosł, wziąść kabryolet, punkt 10 minut po dziesiątéj znajdować się przy tunelu Highgate i tam czekać na pana, ale nikomu o tém nie mówić.

— Dla czegóż nie posyłają małego Tomasza, który zwykle kabrjolet powozi? zapytała pani Lacer.

— Musi w tém być coś ważnego, kiedy nie ufają chłopcu.

— Przeczytaj no ten artykuł w gazecie, rzecze Lubberly podając lokajowi papier; — Cóż myślisz?

Sifter przeczytał, ściągnął usta, zaświstał przeciągle i zawołał: wiem już teraz. Przedwczoraj był nasz mekler bardzo rano u pana. Zamknęli się w pokoju i rozmawiali cicho, tak że nie mogłem się dowiedzieć o czémby mówili, lecz kiedy mekler miał wychodzić, słyszałem jak wyrzekł: szkoda panie Monschein, gdyż upadłeś zupełnie, kompletnie, ale tak bydź musi kiedy inaczéj być nie może. Jak ty to rozumiesz Lubberly?

— Hm! odpowie głęboko-myślny odźwierny, zapewnie namawiał meklera ażeby dla niego coś sprzedał zwielką stratą.

— A czy zrobiłby on co podobnego, gdyby nie konieczność; a ta konieczność miałażby miejsce gdyby dom stał na mocnej stopie?

— Nasz dom miałby bydź w krytycznem położeniu pieniężnem? głupstwo! zawołała pani Lacer. Wczoraj jeszcze mieliśmy 26 osob u stołu.

— To mógł być sposób zasypania ludziom

oczu piaskiem, pomyślał Sifter, Byli to sami kupcy, fabrykanci, z któremi mamy porachunki.

— W wieczór było przeszło sto osób u jéjmości na herbacie, dodała Molly.

— Piasek! przerwie Sifter, to byli sami synowie, córki i żony mających styczności z domem. Ja się gotów o życie założyć, że on wczoraj przez cały dzień nawet w mieście się nie znajdował Przypominasz sobie Lubberly? wczorajszy z rana przyniesiono list oznaczony „Coventry“

— Prawda, my tam robiemy znaczne interesa.

— Znajdowałem się właśnie w tę porę w pokoju, kiedy pan odebrał do rąk ten list. Raptownie zbladł on tak jak mój półkoszulek, szeptał coś do ucha jejmości, a potém dodał w głos: może nie będę dziś w domu na obiedzie i wyszedł,

— Nie ma więc już wątpliwości że dom się chwieje, wspomniała pani Lacer.

— Ale co na to powiesz Sifter? zapytał odźwierny. Dzisiaj bardzo rano roznosiciel listów spotkał jakiegoś nieznajomego człowieka w długim szerokim płaszczu, wymykającego się stąd tajemniczo.

— Jak to, zawoła Sifter. a pan nie...,Sifter przyłożył koniec palca wskazującego do nosa, i dość wyraźnie powiedział: „a! tak!“

— Musiemy tę rzecz koniecznie wyjaśnić oświadczyła pani Lacer, gdyż mogłoby paść jakie podejrzenie na mnie, ktora tu sama jedna jestem pokojówką. I wtém załamawszy ręce z oczami wzniesionemi w górę, niby dla okazania rozpaczającéj cnoty, dodała: to jest nieszczęście być pokojówką!

— Może być że dostarczę w téj mierze niejakie światło, powie Sifter. Przeszłego tygodnia, pan mój wcześnie się położył, a ja umyśliłem sobie, odwiedzić na parę godzin, lokaja lorda Squab. Około piątéj godziny rano wracam do domu i w chwili kiedy już przez próg przestępowałem, skoczył do mnie jakiś mężczyzna w płaszczu, młody i przystojny, o ile mogłem dojrzéć przy świetle płomienia gazowego.

— Daléj, daléj, zawołało całe szanowne zgromadzenie z najżywszą ciekawością.

— Porwał mię za gardło, a chociaż nie jestem jak wiecie zbyt bojaźliwy, że to jednak niespodzianie nastąpiło, nie mogłem się zrazu upamiętać. Nim zdążyłem słowo przemówić, rzekł do mnie: Hultaju! ja jestem pan, jesli najmniejszy hałas robić będziesz, albo zamną poważysz się krokiem postąpić, zginiesz.

Milcz, i bierz co ci daję. To powiedziawszy wcisnął mi w rękę dwa dukaty, i znikł, tak że nie mogłem mu ich już zwrócić.

— To bardzo zakrawa ua romans! pomyślała pani Lacer.

— Wiecie że ja nie dudek, nie dam się w pole wyprowadzić; otóż tedy zdaleka poszedłem za owym jegomością, cicho i ostróżnie, wszedł on do oberży pod *snopkiem przenicy*, na zbożowym targu; wkrótce potém na drugiém piętrze zobaczyłem światło!

— Najwięcéj handlarz zbożowy, pomyślała ze wzgardą pani Lacer!

— Co mieszka na drugiém piętrze? dokończyła Molly takim samym tonem, to hańba fe!

— Czemużeś nam o tém nic nie mówił, zapytał Lubberly.

— Dwa dukaty! słuchaj Lubberly, powie lokaj kładąc rękę na piersiach, dla tak hojnego pana przede wszystkiém cześć się należy.

— Pani nasza jest jednak zawsze przystojna, pomimo wieku, napomknęła Molly.

— Hm, uważałam, powie pani Lacer, że panna Julja w ostatnich teraz czasach jest jakoś nie swoja.

— Na drugiém piętrze w oberży pod snopkiem pszenicy? nie zdaje mi się żeby to była świetna partja, pomyślał Lubberly.

W tém miejscu spiący posłaniec wyciągnął nogi i ramiona, otworzył oczy i usta, mówiąc: ponieważ pan Mondschein zdaje się być ciągle zatrudnionym, przeto zostawię tu list do niego a za godzinkę przyjdę po odpis. Jakoż odszedł, pani zadzwoniła, a Sifter i pani Lacer pospieszyli na górę, zaś Molly zeszła do kuchni.

III.

Około godziny jedenastéj, powrócił pan Mondschein do domu pieszo. W niejakiéj odległości zostawił kabrjolet, polecając Tomaszowi odjechać prosto do domu, i nikomu nie powiadać gdzie byli. Tomasz, jako wierny i posłuszny

stangret, przyrzekł zachować najgłębsze milczenie, zapewniając że nie jest jego zwyczajem bawić się plotkami.

— Pan sztuka, zawołał Lubberły... ale gdzież się kabrjolet podział?

— Dowiemy się o têm niedługo, odpowiedział Sifter.

Pan Mondschein wstępując po schodach na górę pomyślał sobie: Coby to sobie myślano i wnioskowano, gdyby się dowiedziano o nagłym wyjeździe Naczelnika domu Mondschein i komp. — A jednakże byłem w Coventry i powracam; wsparłem chwiejący się już do upadku dom, od którego własne nasze bezpieczeństwo zależy, a nikt nie domyśla się nawet, że przez pół godziny byłem za miastem, jeden tylko Tomasz, który od piętnastu lat u mnie służy.

Wszelako potrzebną była jeszcze summa 30,000 funtów szterlingów, dla utrzymania powagi, dawnéj firmy Mondschein i komp., i naczelnik onéj spuszczał się w téj mierze na starego swego przyjaciela Simona Stanch.

— Henrjetto, zawoła do swojéj żony, trze-

ba rozpisać bilety zapraszające na wielki obiad, bal i wieczerzę.

— Taką rzeczą, nieszczęsny interes w Coventry źle wypadł? rzecze pani Mondschein z głębokiém westchnieniem.

— Jest on już załatwiony, ale nie odbieram listu od sir Stanch, i obawiam się z téj strony przeciwności.

— Wtenczas,.. Boże zmiłuj się nad nami! zawołała żona bankiera, a oczy jéj napełniły się łzami. Jako posłuszna, kochająca żona, biorąca szczery udział w utrapieniach męża, zajęła się natychmiast układaniem listy osób, mających być zaproszonemi.

— Ah! co za męka być bankierem! wyjąknął Mondschein.

Tym czasem lokaj Sifter poszukał stangreta Tomasza, i dowiedziawszy się od niego gdzie jeździł z panem, pospieszył udzielić tę wiadomość swoim kolegom, po czém wszystkiém dopiero wręczył panu list zostawiony przez posłańca. Właśnie to był list na który Mondschein z utęsknieniem oczekiwał, i który wypogodził twarz jego.

— Jak przyjedzie pan Stanch, prosić go natychmiast na górę.

Punkt o godzinie jedenastéj zajechał przed dom powóz zielony, nie wykwintny, a w nim siedział człowiek średniego wzrostu, łysy, z spojrzeniem bystrém. Miał na sobie surdut granatowy, żółtą kamizelkę, białą muślinową chustkę na szyi, szaraczkowe spodnie i bóty ze sztylpami, na wierzchu zaś obszerny płaszcz; słowem wyglądał na jegomości dawniejszéj mody.

Gdyby dziki zwierz, wydobyty z menażerji van Amburga, wpadł nagle do domu, wątpię żeby służący bardziéj się przestraszyli, jak gdy spojrzeli na wchodzącego jegomości dopiero opisanego. Spoglądali raz na niego, to znów po sobie, to znów na niego, a żadne nie odpowiadało, na zapytanie przychodnia; czy pan Mondschein jest w domu. Dopiero, kiedy oddał swój bilet, i na nim przeczytano nazwisko Stanch, dopiero mowię Sifter pokwapił się zaprowadzić go na górę.

— Przysiągłbym, zawoła Lubberly, że to jest ten sam, co niedawno tu list przyniósł.

— Tak, tak, i ja go poznaję.

— Więc to zapewne będzie także ów nieznajomy w płaszczu, napomknęła pani Lacer.

— Gdzież znów, odpowie Sifter, poznałbym tamtego między tysiącem. Ale muszę pójść...., podsłuchiwać.

Pozostali służący zawołali do siebie stangreta pana Stanch, chcąc się i od niego czegóś dowiedzieć.

— Co to za jeden ten pan Stanch, i skąd?

— Mieszka sobie na wsi, dawniéj był kupcem, przybył wczoraj do Londynu, i najął sobie mieszkanie na tydzień.

— Czy ma żonę? zapytała pani Lacer.

— Wdowcem jest, nie ma żadnych krewnych, oprócz jednego Synowca, którego bardzo kocha, ale który porzucił go, bo nie chciał się żenić z osobą, którą mu pan Stanch w Bath wyszukał. Ma on zamiar ożenić się z córką waszego pana, i pożyczyć mu pieniędzy, jakich podobno potrzebuje.

— Co to jest za gatunek człowieka? spyta się Lubberly.

— Bogacz oryginalny, który nic tak nie czyni jak drudzy. I tak naprzykład, dzisiaj zamówił mię na w pół do dziewiątéj, wsiadł do pojazdu w ubiorze, który i czterech groszy nie był wart, i kazał się zawieść na róg przyległéj tu ulicy. W pół godziny może przybiegł spieszno na powrót i kazał się zawieść do oberży pod snopkiem pszenicy na targu zbożowym.

— Otóż mamy, zawoła pani Lacer, to on niezawodnie i niech mnie choroba dotknie, jeżeli on nie udawał spiącego żeby podsłuchać, cośmy mówili.

— W oberży, prawił daléj stangret, pytał się pan Stanch o nazwisko jegomości, co na drugiem piętrze mieszka. — "Smith" odpowiedziano mu. — Chciałbym z nim się widzieć. — Nie ma go w domu i nawet nie nocował dzisiaj. — Potem wsiadł pan Stanch do powozu, pojechał do domu, przebrał się, i tu przyjechaliśmy.

— Im głębiéj w las tém więcéj drzew; ta historja staje się coraz zawikłańszą rzeknie

pani Lacer, ale jéj przerwał Sifter, mówiąc że czasu swojego nie strwonił na próżno.

W prawdzie, dodał, rozmawiali oni cicho, i nie wiele mogłem dosłyszéć, jednakże doszły do moich uszu wyrazy pana Stanch, który mówił: Nie chcę ani słuchać o zaślubieniu, dopóki nie będzie wyjaśnioną tajemnicza historja o człowieku w płaszczu, który się ma nazywać Smith, — Nie znam wcale tego pana Smith, odpowiedział pan, o niczém nie wiem, i również mocno obchodzi mnie samego, wyjaśnienie téj historji. W każdym razie zaręczam życiem za moją córkę. — A więc jeżeli nie z téj strony, to podszedłeś mię względem twojego majątku; wasz dom upada. — Cicho, czyliż chciałbyś mnie zgubić? — Nie, jako dawny twój przyjaciel, pragnę cię ratować, i dam 30,000 funtów szterlingów, pod warunkiem..... więcéj już nic nie mogłem dosłyszéć. Temi słowy Sifter zakończył swoje doniesienie.

Odkrycie, że człowiek w płaszczu nazywa się Smith, miało już swoją wartość; pomimo to jednak cała przebiegłość i mądrość służą-

cych pana Mondschein, nie potrafiła dociec który mianowicie z pomiędzy mnóstwa Smithów całego Londynu, mógł nim być. Z téj zatém przyczyny, tajemnica nie przestała być tajemnicą.

IV.

— O mnie się pytano?... zielony pojazd!... tłusty woznica?... mówił tajemniczy człowiek w płaszczu, z wielkiém zadziwieniem do właściciela oberży pod snopkiem pszenicy; pod jakiém nazwiskiem pytał się o mnie.

— Właściwie nie wiedział o pańskiém nazwisku, pytał się tylko kto mieszka na drugiém piętrze. Przyśpieszywszy kroków możesz go pan jeszcze dogonić gdyż nie ma dwóch minut jak stąd odjechał, a konie idą jak gdyby za karawanem.

Pan Smith udał się rzeczywiście w pogoń za zielonym pojazdem i dognał go. Zasłoniwszy się dobrze płaszczem, zajrzał do powozu, a podziwienie jego musiało być niezawodnie wielkie albowiem załamał ręce i wykrzyknął: „O nieba!"

Jednakże biegł on daléj za powozem zielonym i zatrzymał się w bliskości domu przed którym pan Stanch kazał stanąć i wysiadł. Po małéj półgodzinie pan Stanch, jak nam już wiadomo wsiadł znów do pojazdu Smith ścigał go znów i zgłupiał zupełnie widząc go zatrzymującego się przed domem pana Mondschein.

— A więc wszystko odkryto! pomyślał sobie Smith, chodząc po ulicy tam i na powrót, dopóki nie mogąc przytłumić uczuć swoich nie dopadł, do drzwi pana Mondschein, i nie zakołatał.

Skoro drzwi otworzono, i Smith nagle wbiegł Sifter jakby jakiego ducha zobaczył, krzyknął „Człowiek w płaszczu.!“

— Płaszcz, płaszcz, wołali razem Lubberly i pani Lacer.

— Bądźcie spokojni, nic złego się nie stanie, rzecze Smith do służących rzucając im trzy sztuki złota, i schodząc na dół do kuchni.

— On gotów zabrać srebrne łyżki, pomyślał Lubberly chowając obojętnie dukata do kieszeni.

— Tak myślisz? przemówiła pani Lacer podnosząc drugiego, o, nie, on się zdaje bydź obeznanym z domem, i widocznie dąży do tylnych schodów. Moj pokoik przytyka do gabinetu panny Julji, muszę tam pojść. Jakoż poszła ale nie wyszło trzy minuty powróciła potrząsając głową, z wyrazem jakoby cnotliwéj niechęci. Piękne rzeczy tu się dzieją, nie chcę zostawać dłużéj w tym domu, natychmiast się oddalę, jak tylko znajdę lepsze miejsce. Ktoby pomyślał! Panna Julja! zaledwie weszłam i przyłożyłam oko do dziurki zamkowéj, otworzyły się z drugiéj strony drzwi pokoju panny,

któremi wpadł Smith wołając: ,, Najdroższa Juljo! wszystko odkryte."—" Zginęliśmy, kochany Walterze, odpowie panna Julja zalana łzami, rzucając się w objęcia nieznajomego,, — Oh! nie ma już cnoty na świecie, chyba tylko pomiędzy nami. Niezadługo i pani nadeszła do mojego pokoiku, a Smith mówił daléj: ,, widziałem go wchodzącego do tego domu, i obawiałem się zdrady; co tu począć, nie umiem sobie radzić; użem go raz obraził... Twój ojciec nigdyby nie dopuścił nawet myśli, żebyś miała zaślubiać człowieka tak ubogiego jak ja jestem.

Pani Mondschein schwyciła się mocno za poręcz krzesła.

,, Wyznajmy wszystko naszej drogiej mamie. "Oczy pani Mondschein napełniły się łzami. ,, Ona nam wyjedna przebaczenie, że już od trzech tygodni jesteśmy poślubieni. " Pani Mondschein zdawało się że ciężar centnarowy spadł z serca. Weszła do pokoju córki, a Sifter ktory podsłuchiwał pode drzwiami

żdrugiéj strony, spłoszony tym szmerem skoczył prędko po schodach na dół, i w jednéj minucie wszyscy służący w domu wiedzieli, że panna Julja jest już od trzech tygodni żoną pana Smith.

V.

Jest przysłowie tak stare jak świat: „*co się stało odstać się nie może*“ Z małym wyjątkiem, przysłowie to wybornie może być zastosowane do związków małżeńskich, a pani Mondschein tak zręcznie umiała go użyć na korzyść

młodych ludzi w swojém pośrednictwie, że ono najskuteczniéj się przyczyniło do zniewolenia pana Stanch, aby uznał dobrém to, co w każdym razie nigdyby zapewnie nie pochwalił.

Dopiero wspomnione osoby znajdowały się zebrane w pokoiu bawialnym, z Walterem Smith, a raczéj Stanch (zbiegłym synowcem sir Simona Stanch) i Julją. — Pan Mondschein, dla zabezpieczenia się od niespodzianéj przeszkody, zamknął drzwi, i wszyscy rozmawiali po cichu, jak się zwykło czynić w interesach wielkiéj wagi. Znalazłoby się wiele do powiedzenia za i przeciwko temu zwyczajowi, zresztą jest on dotkliwie nieporęcznym dla podsłuchiwaczy. Tak też rozumował Sifter w obecném zdarzeniu, albowiem chociaż miał słuch wyborny, i w podsłuchiwaniu posiadał znakomitą biegłość, przecież z dziesięciu słów wymowionych, zaledwie dziewięć mógł cokolwiek zrozumieć. Pomimo tego udało mu się wątek uchwycić, i taki wykład rzeczy udzielił swoim towarzyszom:

— Wszystko wyjaśnione! ale zgadnijcie kto jest ten pan Smith? Daremnie sobie głowę łamiecie, ja wam powiem... To jest pan Stanch,

synowiec tego starego jegomości. Pani płakała, panna Julja... pani Stanch, chciałem powiedzieć, i jéj mąż padli na kolana... krótko mówiąc: wszystko przebaczone. Jutro jadą wszyscy na wieś do starego Stancha, a jak powrócą, będzię ogłoszno że tam dopełnionym został związek małżeński za zgodą i zezwoleniem wszystkich.

— A więc, uczynił uwagę Luberly, stary nie ożeni się z panną, a tém samém nie da 30,000 funtów szterlingów, i nasz dom musi zbankrutować.

— Nic z tego, braciszku, jeszcze dziś wniesiona będzie ta summa, pod warunkiem że pan synowiec wchodzi w współkę domu. Dobry poczciwy stary, pocałował pannę w czoło i pozwolił jéj zamówić sobie brylanty za 1000 funtów szterlingów na jego rachunęk... Ale co jes najpociesznięjszego, dodał Sifter śmiejąc się głośno, ułożono sobie że nam będzie lekko napomknięto iż mamy miéć wesele, ażeby... W tém miéjscu mówca został wstrzymany głosem dzwonka pana Mondschein, który kazał żeby pojazd zajechał.

Niebawnie zeszli na dół pan i pani Mondschei ich córka, Walter i stary Stanch. Pani rzc kła na progu do swojéj wiernéj garderobianki: ,,Będziesz się zapewne cieszyła, gdy ci powiem że nasza córka idzie za mąż.

Pani Lacer udała zadziwioną i odpowiedziała, że jéj nieskończenie jest miło słyszéć o tém.

— Mogę się ośmielić zapytać, dodał Sifter kto jest narzeczonym panny?

— Pan Stanch synowiec Sir Simona, odpowie pan Mondschein z zadowoleniem, a potém obracając się do żony szepnął jéj do ucha oni o niczém nie wiedzą. Tak, tak nie trzeba nigdy służących przypuszczać do tajemnicy, to jest moją zasadą, i mamy nowe przekonanie jak szacowną jest to rzeczą.

Matka i córka pojechały do jubilera, a trzéj ichmoście udali się najprzód do bankiera pana Stanch, a potém do kantoru pana Mondschein. Wszystko załatwiono z powszechném zadowoleniem, a nie wyszły dwie godziny, cała historja począwszy od człowieka w obszernym płaszczu aż do zamęścia Julji, kursowała pomiędzy całą rzeszą służących miasta Londynu.

NIEPEWNOŚĆ.

Pomiędzy wszystkiemi siedmiu dniami tygodnia najmilszym był dla pana Berchard sędziego powiatowego w Steinberg dzień sobotni. Skoro mały dzwonek na ratuszu wiejskim ogłosił godzinę szóstą po południu, zacny sędzia otrząsał pióro, zdejmował zielone rękaw zrzucał biurową suknię i pył aktowy; ale nie tylko powierzchowność pana Bernhard zmieniała się, bo

ten co przed chwilą jak drugi Minos lub Radamant stał pomiędzy wieśniakami swego okręgu, stawał się na powrot wesołym jeńjalnym człowiekiem który w każdém towarzystwie mile był widzianym z powodu swego dobrego humoru.

W Sobotę było zawsze wieczorem towarzystwo dobrych przyjaciół u pana Bernhard, gdzie trzymano się tych słów Szyllera.

„Szczerych druchów z pół tuzina,
Przy małym stole, szklanka tokajskiego wina,
Przy tém rozsądna pogadanka jeszcze;
To lubię...„

A ponieważ te rozsądne pogadanki przeciągały się niekiedy do późnéj nocy, przeto pan Bernhard wybrał Sobotę na zgromadzenie przyjaciół, ponieważ nie mając w Niedzielę czynności biurowéj, mógł się swobodnie po zabawie przespać.

Rozmowa była główną i jedyną rozrywką gości pana Bernhard, gra bowiem na zawsze była wyłączoną z szeregu zabaw w jego domu. Rozmawiano i opowiadano sobie nawzajem już to coś poważnego, już też wesołego; ale wszyscy goście najbardziéj lubili słuchać kiedy sam

gospodarz to lub owo z swego życia zdarzenie opowiadał.

Pewnego wieczora toczyła się właśnie rozmowa o małżeństwach, i każdy z obecnych żonatych przyjaciół opowiadał szczegóły swego ożenienia, czyli w jaki sposób poezja miłości i złotego wieku zalotów, przeszła w prozę stanu małżeńskiego.

Przyszła wreszcie koléj na samego gospodarza, ten najprzód poprosił swojéj żony Emilji, aby kazała nanowo napełnić wazę ponczem, a kiedy ten złoty płyn w porcelanowéj szalupie ukazał się na stole, sędzia tak zaczął mówić:

—Już od szesnastu lat zaślubiony jestem z moją kochaną Emilją, która nam w téj chwili poncz przyniosła, i którą wszyscy znacie; a jednak wierzcie lub nie, ják się wam zdawać będzie, jednak prawnie nie jestem przekonany, czy ona jest tą samą która we mnie pierwszą miłość wznieciła, i którą późniéj jako ukochaną małżonkę do mego domu wprowadziłem, czy też inną. Moja Emilja wprawdzie od piętnastu lat zapewnia mnie że ona sama była tą kochanką i tą narzeczoną, i dla tego jestem zupełnie

w tym względzie spokojny, ale nie zupełnie przekonany.

Kiedy obecni głośno objawili podziwienie, jakie w nich wzbudziły słowa zacnego sędziego, on tak daléj mówił:

Skończyłem trzechletni kurs prawa w uniwerstecie, uczyłem się nie raz tak że mi się aż dymiło z głowy, dla tego pewny byłem swego w pandektach i kodexach, i mogłem bez wielkiego drżenia serca pomyśléć o examinie. Kiedy i to już z głowy zbyłem, miałem dość wolnego czasu, który jak mi się zdawało najlepiéj mogłem użyć przejrzawszy się nieco między młodemi dziewczętami miasta w którém mieszkałem. Stare przysłowie mówi: „Kto szuka, ten znajdzie," i na mnie sprawdziło się to wkrótce, znalazłem bowiem wpośród pięknego wieńca dziewic miasta, kwiatek który mię bardziéj niż wszystkie inne pociągał. Poznałem tę dziewicę w domu jednego z przyjaciół mego ojca, gdzie była kilkakrotnie, odwiedzając słabą córkę gospodarza a swoję przyjaciołkę. Sądzę że to była teraźniejsza moja żona, Emilja, chociażbym na to przysiądz nie mógł.

— Spokojnie możesz przysiądz, kochany przy-

jacielu, rzekła śmiejąc się sędzina, upewniam cię że to ja byłam.

— Dobrze moje dziécię, mówił daléj sędzia, ty jedna możesz o tém pewno wiedziéć; otóż słuchajcie przyjaciele co się daléj stało. Byłem wtedy jeszcze młodzieńcem poetycznym, i umiałem moją mowę szczególniéj w rozmowie z Emilją tak kwiecistą czynić, że wkrótce z wielką pociechą dostrzegłem iż ubostwiona dziewica chętnie mię słuchała. Słowem, żebym zawiele nie rozszerzał się nad tém, wkrótce zostaliśmy kochankami i przysięgliśmy na niebo, ziemię, słońce, księżyc, gwiazdy, planety i komety, żyć tylko jedno dla drugiego. W tém uderzyła gorzka godzina rozstania. Emilja musiała wrocić do swojéj, ja do mojéj rodziny.

Mój ojciec zobaczywszy mój patent uniwersytecki, uściskał mię i rzekł, iż nie żałuje pieniędzy które na mnie wydał. U człowieka tak skąpego w pochwałach jak mój ojciec, to było za nadto wiele. Jako dawny *juris practicus* zadał mi kilka trudnych zadań prawniczych, aby się przekonać czy w mojéj głowie istotnie jest tak jak opisywało świadectwo podpisane przez rektora i profesorów. Mój ojciec nie dał się

uwieść słówkom albo pisaniu, ale każką rzecz głęboko starał się zbadać. Przekonawszy się że patent mój nie kłamał, bardzo się cieszył i zaczął mię odtąd nazywać *panem* synem. Co się działo w mojém sercu, o to on wcale się nie pytał, i to mię też niezmiernie cieszyło. Tam prawa zupełnie były na innych zasadach oparte i zamiast bogini z zawiązanemi oczyma, mieczem i szalkami, siedziała na tronie miluchna dziewica która się nazywała Emilją i która jeśli mię wszystko nie zwodzi, jest teraz moją żoną.

Pierwsze tygodnie pobytu mego w domu ojcowskim przeszły mi bardzo przyjemnie; parę godzin codziennie pracowałem w kancelarji ojca, który był sędzią pokoju znacznego okręgu, resztę czasu mogłem użyć jak mi się podobało. Błądziłem w pośród pięknéj natury, i w każdéj rozwijającéj się róży postrzegałem obraz mojéj Emilji, a nawet jak mi się zdaje pisałem wiersze, co dla prawnika jest bardzo nieprzystojném zatrudnieniem. W sąsiedztwie bywały często koncerty i bale, rzuciłem się w huczne życie, starałem się nadskakiwać pannom i mężatkom, ale żadna nie mogła ani na chwilę za-

ćmić obrazu Emilji; wszystkie nowe znajomości które zabierałem z płcią piękną, czyniły mi stokroć droższą jeszcze moję ukochaną.

Mój pan ojciec który ani pomyślał o moich erotycznych i poetycznych marzeniach, nie zdawał się być zadowolonym z mojego nadskaki wania płci pięknéj. Kiedy na balu pewnego Czwartku, gdzie on także był obecnym, umizgałem się do wszystkich w kolej panien i mężatek, ojciec mój zawołał mię na bok, i kazał mi przyjść do swego gabinetu w Niedzielę z rana po mszy.

Te prywatne posłuchania w Niedzielę po nabożeństwie w gabinecie ojca, były mi znanemi jeszcze z czasów mego dziecinnego wieku. Jeżeli w którymkolwiek dniu tygodnia zbroiłem co, kara nie nastąpiła nigdy *in flagranti* ale w Niedzielę po nabożeństwie, kiedy mój ojciec udał się do gabinetu. Ponieważ łatwo mogło się przytrafić że z każdego dnia w tygodniu znalazło się kilka przestępstw i te w Niedzielę były razem policzone, i wynagrodzone, stąd też dzień ten od dzieciństwa nazywał się dla mnie dniem sądnym.

Z tego powodu nie zupełnie bez trwogi zapukałem do drzwi gabinetu ojca mojego w następną Niedzielę zaraz po nabożeństwie, bo chociaż byłem już pełnoletnim i dorosłym młodzieńcem, zostało mi się jednak z lat dziecinnych wielkie poszanowanie dla mego ojca.

Usłyszawszy kategoryczne „Proszę!“ wszedłem do gabinetu. Mój ojciec siedział przy biurku i pisał. Gdy wszedłem odwrócił nieco głowę, wskazał na sofę abym na niéj usiadł i pisał daléj spokojnie.

Siedziałem tedy oczekując co daléj będzie; że mój ojciec miał o czemciś ważném ze mną mówić, to było nie wątpliwém. Nakoniec po upływie przynajmniéj półgodziny, zobaczyłem że mój ojciec energiczném pociągnieniem pióra podpisał swoje imie i posypał piaskiem mokre jeszcze pismo. Zażył potém tabaki, wstał, włożył zapisany arkusz w właściwą szufladkę, przysunął krzesło i usiadł na przeciw mnie.

— Panie synu, zaczął spokojnym, prawie obojętnym tonem, przypomnisz sobie z pisma świętego, że człowiekowi nie dobrze jest być samym na świecie, wiesz dla czego pan Bog z żebra Adama utworzył Ewę.

To przytoczenie z pisma świętego zdawałom się bardzo stosownem; to zdanie moje objawiłem niemém skinieniem głowy.

— *Item*, mówił daléj ojciec, w życiu ludzkiém jest pewny *terminus*, w którym zastosowanie się do tego boskiego i ludzkiego porządku rzeczy, staje się powinnością.

— Bez wątpienia, odpowiedziałem.

— *Item* panie synu, mówił daléj mój ojciec, kiedy ten *terminus*, nadejdzie, czas, jest pomyśléć o *justis nuptiis* to jest wziąść żonę. O chlebie już pomyślałem, od dziś za rok obejmiesz na siebie moje szlacheckie dobra Burgstadt.

Byłem w trzeciém niebie; nigdy jeszcze pokryty pyłem aktowym gabinet ojca mego nie wydawał mi się tak świetnym. Mój ojciec siedział przedemną jak jaki patrjarcha starożytności, serce moje usiadło na języku, i właśnie chciałem wyznać moję miłość i wystawić obraz mojéj Emilji w poetycznie płonących kolorach, kiedy mój ojciec surowym tonem tak daléj mówił:

Dla tego muszę prosić o zaprzestanie tych do niczego nie prowadzących nadskakiwań pierwszemu lepszemu fartuszkowi. Nic nie ma szkodliwszego dla młodego człowieka, dążącego do jakie-

goś poważnego powołania, jak to umizganie się do całego rodzaju żeńskiego. Traci się przezto dużo czasu, kompromituje się charakter męzki i do niczego się nie dochodzi. Dla tego też co się tycze wspomnionych *nuptias* oszczędziłem panu synowi wszelkiego trudu, i wynalazłem dla niego stosownę partję. Nie potrzebujesz nic więcéj czynić, jak tylko przedstawić się twojéj narzeczonéj.

Zrobiło mi się zielono i niebiesko przed oczyma, dostałem szumu w uszach i zawrotu głowy.

— Ale, szanowny panie ojcze, — wyjąkałem.

— Nie ma „ale" przerwał mi ojciec nie zbyt łagodnie, — siwosz stoi już gotowy, jutro rano pojedziesz na zaloty do Lindenthal. Wreszcie spodziewam się że pan syn zgodzi się z moim gustem; wybrana narzeczona jest córką mego kolegi uniwersyteckiego, pana Wolbrecht, i można mówić, jest to anioł. Cała rzecz już jest ułożona.

Można mówić jest to anioł; to łatwo powiedzieć; ale nie wiele mogłém się po tém spodziewać, bo jakokolwiek poważałem w moim ójcu godne zazdrości wiadomości w przedmiocie

praw, gospodarstwa i t. p. nie mogłem tego samego rozciągnąć i do jego znawstwa względem kobiet.

— Ale, odpowiedziałem znowu, jeśli ten tak zwany anioł nie zechce mnie?

— Romanse, panie synu, córka mego przyjaciela jest rozsądném i posłuszném dziécięciem, wola ojca jest prawem dla córki, tegoż spodziewam się od pana syna.

Zbyt dobrze znałem mego ojca, i wiedziałem że opór mój u niego nic nie pomoże, aby go zatém nie drażnić więcéj, udałem posłusznego syna.

Zobaczyć uprojektowaną narzeczonę, mogę przecie, pomyślałem sobie; przy téj okoliczności kilka dni będę wolnym od przewracania akt prawnych. Postanowiłem zarazem prostą drogą postąpić z panem Wolbrecht i oświadczyć mu otwarcie że nie mogę ożenić się z jego córką z tego prostego powodu, że już inną kocham.

Mój pan ojciec zdawał się być niepomału zadowolonym że już nie czyniłem dalszych opozycji przeciw jego planowi, małżeństwa, i ja-

ko rozsądny syn, przez powinne posłuszeństwo oddawałem sprawiedliwość jego mądrym zamysłom. Podał mi rękę na pożegnanie i już następnego poranku wyjechałem na pięknym siwoszu w świat który wtedy właśnie ubrany był w najpiękniejszą szatę wiosenną. Dziwnym celem podróży mojéj nie było zyskanie narzeczonéj, ale raczéj pozbycie się jéj. To w owczesnych okolicznościach nie zdawało mi się być trudném, i dla tego jechałem sobie zupełnie wesoło.

Dobra Lindenthal odległe były o mierne dwa dni drogi od mieszkania mego ojca. Przybyłem na miejsce bez przypadku, w zupełnie dobrym stanie, i wyznać musiałem że położenie dziedzictwa przeznaczonéj mi narzeczonéj, było bardzo zachwycające. Nie mogłem nasycić się widokiem pięknéj okolicy, która dwakroć milszą się wydawała w bogatym odzieniu wiosny.

— Jeżeli moja panna narzeczona, pomyślałem sobie, równie jest piękną jak jéj mieszkanie, to mój ojciec miał słuszność nazywając ją aniołem, a ja niesłusznie tak spiesznie zawyrokowałem o jego smaku względem płci pięknej.

Wreszcie, mówiłem daléj zjeżdżając zwolna pochyłą drogą ku balsamicznéj równinie, wcałebym się nie cieszył gdyby moja narzeczona była istotnie tak piękną. Powabną dziecinę na koszu zostawić, to zawsze jest nie przyjemnie, byłbym rad żeby była brzydką jak noc, wreszcie, jak dla mnie, mogłaby sobie być czarownicą.

Pośród takich uwag mój siwosz coraz daléj postępował, i coraz bardziéj zbliżaliśmy się do pięknego dworu otoczonego przyjemnie cienistemi lipami.

— Najlepiéj będzie, rzekłem do siebie z mocném postanowieniem, nie zobaczyć wcale narzeczonéj, nie pytając się czy ona jest ładną czy brzydką. Poproszę pan Wolbrecht o zupełnie prywatne posłuchanie, powiem mu otwarcie czystą prawdę i jak najprędzéj wrócę tam skąd przybyłem. Niech sobie potém mój ojciec gdéra ile mu się podoba; powiem wtedy i jemu otwarcie, iż nie mogę przyjąć panny Wolbrecht, ponieważ rozrządziłem już mojém sercem i ręką; a dwóch żon na raz jeden mężczyzna mieć nie może, chociażby obie były aniołami, bo gdyby nawet prawo nie zabraniało te-

go, niepodobieństwem byłoby utrzymać w zgodzie dwie panie domu.

W pośród tych i innych podobnych rozumowań, zbliżyłem się zupełnie do przyjemnéj wioski należącéj do zamku Lindethal. — Obejrzałem się w około, czy nie odkryję gdzie jakiéj oberży, i wreszcie postrzegłem w końcu wioski coś wyglądającego na podobny zakład. Natychmiast skierowałem moje kroki, czyli raczéj mojego wiernego bucefała do pożądanego miejsca; dojechawszy tam wprowadziłem konia pod wystawę, wzmocniłem się kieliszkiem dobréj anyżówki i ile możności uporządkowałem moję toaletę, na bliskie odwiedziny u pana Wolbrecht, aby z całą energją odrzucić zamierzony związek.

Nie zupełnie bez trwogi zbliżyłem się do domu przyszłego *in spe* teścia. Ponieważ tenże otoczony był obszernym parkiem, musiałem więc przechodzić przez gęste kwieciste aleje. Przechodziłem obok pięknych jasminem i różami otoczonych altanek. Trwożnie i z pomięszaniem spoglądałem to tu to owdzie, wszędzie obawiałem się żebym niespodzianie nie napotkał panny Wolbrecht.

Szedłem lekko po ścieszkach czysto wysypanych czerwonawym piaskiem, i nie postrzegłszy tego przyszedłem już pod sam pałacyk, tylko kwitnący płot buldeneżu oddzielał mię od niego; przeszedłem i ten szczęśliwie, — nieba! jakiż obraz przedstawił się oczom moim! Zdawało mi się że w ziemię wpadnę; drzewa, krzaki, altany, klomby, wszystko w około mnie zaczęło tańczyć, stałem jak oczarowany, upoiony szczęśliwym widokiem, — bo o dziesięć kroków odemnie,pod kwiecistym namiotem altany, zanurzona w czytaniu jakiéjś książki z złotemi brzegami, siedziała — moja Emilja.

Przez niejaki czas stałem nie mogąc słowa wymówić, z założonemi rękami w radosném zachwyceniu. — Emiljo, rzekłem nakoniec z cicha, tonem najwyższego wylania duszy, moja Emiljo?

Ta na którą zawołałem zwróciła ku mnie swoje piękne jasnemi włosami ocienione oblicze. Powabny rumieniec pokrył jéj lica, złożyła książkę i powstała spiesznie.

— Emiljo, moja Emiljo! zawołał m głośniéj, i radosny pobiegłem ku niéj; upadłem do jéj nóg i z uniesieniem przycisnąłem do ust jéj rękę.

Ale nagle ta droga ręka cofnęła się i ten niegdyś tak słodki, pełen miłości głos, odezwał się surowym, groźnym prawie tonem:

— Mości panie, co to znaczy, proszę oddalić się natychmiast.

Zdawało mi się że nie dobrze słyszałem, i wzniosłem błagające wejrzenie ku Emilji, ale jéj wzrok był trwożny i w pół gniewny i w téj saméj chwili dwie ręce uchwyciły mię za ramiona z taką siłą że wstałem jakby dotknięty laską czarnoksięską,

— Będziemy się strzelali, odezwał się głos basowy, a olbrzymie ręce puściły mnie.

Odwróciłem się aby zobaczyć groźnego przeciwnika, który mię tak niespodzianie z tyłu zaszedł. Ujrzałem marsową postać kapitana gwardji z energicznemi wąsami i ognistém okiem. Okrutnik ten był dobrze o pół głowy wyższy ode mnie, a ja nie należałem wcale do niskich.

— Co to się znaczy! mówił daléj okropnym głosem, co robisz przy nogach mojéj narzeczonéj?

To mówiąc porwał mię za piersi i zamierzał się wstrząsnąć mną silnie.

W każdym innym przypadku byłbym krótką dał odprawę niegrzecznemu napastnikowi, ale jeden wyraz wymówiony przez niego: „narzeczona„, odebrał mi zupełnie siłę. Milcząc spojrzałem na Emilję i postrzegłszy że w tém słodkiém anielskiém obliczu wygasła znpełnie miłość, że nie błyszczała w niém ani jedna iskierka dawnego przywiązania, jawnie ujrzałem że należę do liczby zdradzonych kochanków.

Ta myśl raniła mię i oburzała zarówno. Nie mówiąc ani słowa więcéj, prócz: „Rozmówiemy się panie kapitanie;“ wydarłem się z rąk jego, i pobiegłem z tamtąd jak szalony.

Dopiero po długiém bieganiu w prawo i wlewo w pośród gęstych i rzadkich zarośli, wszedłszy w cienisty gaik bukowy, tyle zebrałem przytomnośći że mogłem jak mizantrop rozważać przeszłość.

— Emiljo, ha, wężu! powtórzyłem kilkakrotnie, zwracając się do starych buków, — czy też kto słyszał co podobnego! O kobiety! kobiety! fałszywy obłudny rodzie! Nie chciałem nigdy wierzyć, że jesteście zdolnemi do nikczemnéj zdrady, uważałem to za potwarz rzuconą na was przez

złośliwy ród romansistów i poetów dramatycznych; ale teraz, teraz mam najpewniejszy, najokropniéjszy dowód tego w moich rękach.

Kiedy przyszedłem nieco do siebie z pierwszego wrażenia, powstało w sercu mojém uczucie nienawiści i zemsty, przeciw téj którą niegdyś tak bardzo kochałem. Gotów byłem wszystkiego się dopuścić i nawet z sobą samym nie żartować.

— Dobrze! zawołałem po niejakim namyśle, a wielki plan zemsty powstał w méj głowie, dobrze, aby pokazać iż mogę żyć bez ciebie, ty zdradna, niewierna, na złość tobie ożenię się z panną Wolbrecht.

Ten plan zdawał mi się wybornym, zupełnie zadowolony zwróciłem się do Lindenthal. Ale tym razem nie szedłem do pałacu przez poetyczny park, lecz przez wielki dziedziniec z stajniami i gołębnikiem, dla tego byłem przez tę drógę prozaiczniéj usposobionym niż pierwéj, zimniéjszym i spokojniéjszym, chociaż serce moje przepełnione było gniewem i żądzą zemsty.

W pałacu obeszło się bez wielkich ceremonji; wprowadzono mię do przyjemnego pokoju wychodzącego na ogród. Wkrótce wszedł mój

teść *in spe*. Był to człowiek pięknego wzrostu, silnie zbudowany, jeszcze w sile wieku, z obliczem otwartém i śmiejącém. Pierwszy rzut oka zjednał mu zupełnie moją przychylność. Podałem list mego ojca, i podczas gdy go rozpieczętował i czytał, ja oglądałem się na wszystkie strony, czy gdzie nie pojawi się ładna twarzyczka dziewicy, należąca do mojéj narzeczonéj.

Podczas tego rekonesansu nie postrzegłem że czoło pana Wolbrecht podczas czytania listu mego ojca, widocznie pokryło się chmurą. Pewien byłem że mój teść zaraz po przeczytaniu listu z uniesieniem radości przyciśnie mię do swego serca, i wpół udusi tym uściskiem. Tymczasem stało się zupełnie inaczéj. Złożył napowrót list mego ojca, podał mi rękę i przyjaźnie moję uściskał.

— Mój młody przyjacielu, rzekł uprzejmym i stanowczym głosem, prosta droga jest najlepszą, dla tego otwarcie ci powiem, że serce mojéj córki nie jest już wolném; ojciec twój, nie miéj mi tego za złe, ma swoje dziwactwa; do tych

należą jego projekta względem małżeństwa. Bóg mi świadkiem że nie mam nic przeciw tobie mój młody przyjacielu, ale córka moja z przymusu tylko mogłaby zostać twoją żoną, a któryż rozsądny ojciec chciałby w podobnym razie przymuszać swoje dziécię? Ja nie znam wprawdzie tego którego córka moja wybrała, wiem tylko że go kocha, i że on jest godnym jéj miłości, chociaż okoliczności nie prędko może jeszcze dozwolą na ich związek.

— Szanowny panie Wolbrecht, odpowiedziałem, upewniam pana z mojéj strony, że nie miałem wcale zamiaru połączenia się z córką pana dobrodzieja, któréj nie znam wcale, moje serce także nie jest wolném. Kochałem, chociaż haniebnie zostałem zdradzony. Znasz pan mego ojca, uległem więc jego woli, chociaż uważałem tylko moję podróż do Lindethal, jako wycieczkę, ktora mię na kilka dni uwolniła od pyłu aktowego w pracowni mego ojca.

Teraz dopiero pan Wolbrecht uściskał mię serdecznie.

— Nie mówmy więc już o tém co mi twój ojciec pisze, rzekł; jesteś miłym dla mnie gościem, zostaniesz tu póki ci się podoba, a z pro-

jektami twojego ojca, damy sobie radę wziąwszy się za ręce.

Dziwnie mi było na sercu; położenie moje było istotnie okropném, Emilja stała się dla mnie niewierną, panna Wolbrecht miała już innego; nic mi więc nieszczęśliwemu nie pozostało. Pomimo głębokich rozumowań filozoficznych przed przybyciem do zamku, nie pomyślałem ani na chwilę że panna Wolbrecht może już kochać innego. Ta miłość była fatalną dla mnie, wydzierała mi bowiem sposobność pomszczenia się nad niewierną Emilją. Prócz tego jeszcze wdałem się w kłótnię z kapitanem; bez pojedynku nie można było załatwić téj sprawy, bo ten rycerz nie zdawał się być bardzo łagodnego usposobienia i z oczu jego widać było że nie lubi żartować. Piękne mi zaloty, pomyślałem wzdychając, stracić kochankę, dostać odprawę od narzeczonéj, jeszcze przy tych nieszczęściach wejść w kłótnię z rywalem marcjalnym i dziękować Bogu jeśli się uda z życiem wyciągnąć się z téj sprawy. Bodajem był został w domu wśród pyłu sądowego.

— Tymczasem, wesoło rzekł pan Wolbrecht przerywając moje posępne myśli, abyś pan-

przynajmniéj zobaczył co twój ojciec wybrał dla ciebie, i że jego gust nie był bardzo złym, pójdź ze mną do pokoju mojéj córki. Emilja cieszyć się będzie z poznania syna moiego przyjaciela.

— Znowu Emilja, pomyślałem sobie; to imie okrutnie igra ze mną. Czyliżby, — dziwna myśl przebiegła w mojéj duszy, ale nie to niepodobna; moja Emilja była przecie narzeczoną tego okropnego rębacza który mię tak energicznie porwał za ramiona, a teraz zamierzał strzelać się ze mną; Emilja Wolbrecht, wybrana mi przez ojca narzeczona, kocha się w człowieku którego jéj ojciec nie zna jeszcze, musi to więc być inna, i zapewne lepsza.

Wpośród tych rozmyślań wszedłem z panem Wolbrecht do pokoju jego córki. Spoglądam i sądzę że powinienem był upaść bez życia; — na sofie siedzi moja niewierna Emilja, jak poprzednio w altanie, i czyta almanach ze złotemi brzegami.

— Syn mego kolegi uniwersyteckiego, rzekł pan Wolbrecht przedstawiając mię. Musiałem; dziwną grać figurę przy tym akcie uroczystym bo czułem jak sztywno i bez życia stałem tam

patrząc tylko zabijającym wzrokiem na wiarołomną Emilję.

Emilja powstała zarumieniona, zapewnie przypomniała sobie scenę w altanie, bo zdawało mi się że drżała. Dawny zachwycający uśmiech otoczył jéj usta, jak dawniej anielski jéj wzrok zwrócił się na mnie, ale ja pozostałem gniewnym i zimnym jak lód.

Wtém zawołano pana Wolbrecht, zostałem sam z Emilją.

— Jestże to prawdą czy złudzeniem, zaczęła Emilja słodkim, pochlebnym tonem, ty tu mój jedyny?

— Jedyny? zdawało mi się że nie dobrze słyszałem. Wieleż to jedynych miała ta bezbożna! Ta bezprzykładna fałszywość wzburzyła mię do najwyższego stopnia, obejrzałem się czy nie ma w pobliskości olbrzymiego kapitana, a widząc że sam jestem odezwałem się z goryczą.

— Istotnie, pani grasz piękną komedję, ale żałuję że nie mogę należéć do niéj, bo wcale nie mam ochoty być słomianym człowiekiem.

Po tych słowach ukłoniłem się, i szybko wyszedłem z pokoju.

— Edwardzie! Edwardzie! wołała za mną Emilja, ale nic nie mogło mię wstrzymać. Biegłem bez odetchnienia z silném postanowieniem oddalenia się z tego domu natychmiast i na zawsze. Chciałem z oberży w kilku słowach donieść panu Wolbrecht o moim odjeździe, wtém przypomniałem sobie przeklętego kapitana, z którym wypadało mi jeszcze załatwić sprawę honorową. Szybko powziąłem postanowienie napisania i do niego, że jestem gotów spotkać się z nim gdzie mu się podoba.

Wybiegłem na dziedzieniec a z niego do parku aby najbliższą drogą dostać się do oberży, przeklinałem moję podróż, Emilję i kapitana, z całego serca, wtém nagle jakby uderzony piorunem stanąłem i wyraźnie czułem, jak krew zaczęła zbiegać się po moich żyłach. Dreszcz mię przebiegł, wszystkie włosy moje powstały, — w środku główněj alei parku, postrzegłem — Emilję.

— Otóz to kara za moją filozofję; od dawna liczyłem się do kantystów, i z całego serca śmiałem się z wszystkich duchów, upiorów i innych nadprzyrodzonych zjawisk; teraz nagle w cóż się obróciły moje zasady? Żywa Emilja którěj właśnie przed chwilą w jéj pokoju powiedziałem

słowa prawdy, nie mogła w żaden sposób w téj saméj chwili przechadzać się w parku, a jednak to była ona, ta sama suknia niebieska, ta sama przepaska, te bląd włosy i ten sam wzrok anielski; a więc to był jéj duch, albo też ja wylałem się przed duchem z mojemi wyrzutami, a ta którą w téj chwili miałem przed sobą, była prawdziwą, naturalną Emilją.

Właściwie nie należałem ja do ludzi trwożnych, ale sam waleczny Roland, byłby na mojém miejscu postradał odwagę; nie podobna było iść przeciw duchowi który musiał być okropniejszym od innych duchów, kiedy w pośród jasnego dnia odważał się zwiedzać ziemię, którą jego koledzy w ciemnéj tylko nocy przebiegają. Osądziłem więc za najstosowniejsze zwinąć chorągiewkę, i kłusem pobiegłem napowrót dzwoniąc zębami, ku pałacowi.

Tu spotkałem spieszącego ku mnie pana Wolbrecht, który nie pomału zmięszał się, dowiedziawszy się o mojéj nagłéj ucieczce. Bardziéj jeszcze zląkł się zobaczywszy twarz moję bladą jak kreda.

— Na miłość boską, kochany przyjacielu, zapytał, co ci jest, musiało ci się zdarzyć cóś nadzwyczajnego.

— Istotnie, odpowiedziałem, tak właśnie. Przytém spojrzałem w około z obawą, czy duch Emilji nie pobiegł za mną na dziedziniec. Nie widząc go jednak, uspokoiłem się nieco, konwulsyjnie uchwyciłem pana Wolbrecht za rękę i zapytałem czy wolno mi mówić.

— Owszém, owszém mój przyjacielu, odpowiedział tenże, umieram z ciekawości.

Wtedy bez ogrdóki oświadczyłem panu Wolbrecht, że w jego zamku duchy się znajdują, opisałem mu co do słowa wszystko co zaszło, nie wspomniałem tylko ani słowa o moich dawnych stosunkach z Emilją i jéj zdradzie.

Pan Wolbrecht słuchał cierpliwie całego opisu okropnego wypadku; mimo to pozostał nadzwyczaj spokojnym, a kiedy skończyłem mój raport, wziął mię za obie ręce i rzekł z uśmiechém.

— A jednak mylisz się mój przyjacielu, jeśli sądzisz że widziałeś ducha, cała zagadka bardzo prosto da się rozwiązać, kiedy ci powiem, że niebo obdarzyło mię dwiema córkami które przez dziwaczną igraszkę natury, tak nadzwyczajnie do siebie są podobne, że ja nawet mylę się niekiedy w rozróżnieniu ich i poznaję je tylko po sła-

bym odcieniu w ich mowie. Wskutek dziwactwa mojéj zmarłéj małżonki, obie moje córki muszą zawsze jednakowo ubierać się, co jeszcze łatwiéjszém czyni wzięcie jednéj za drugą. Nazywają się one, Amelja i Emilja, ale w domu zowią jednę Malką drugą Milką. Ta do któréj pokoju wprowadziłem cię, jest Emilja, a ta którą teraz spotkałeś w parku, jest Amelja, narzeczona kapitana Thalheim.

W całém mojém życiu nigdy kilka słów tak silnego na mnie nie uczyniło wrażenia, jak mowa pana Wolbrecht. Zasłona spadła z moich oczu, byłem w siódmém niebie; a zarazem przejęła mię rozpacz, z powodu mego obejścia się z Emilją.

— Szanowny przyjacielu, zawołałem z uniesieniem, rzucając się na szyję ojca mojéj ulubionej na wszystko co jest świętém, pozwól mi kilka słów tylko pomówić jeszcze z Emilją. W nieszczęśliwém zaślepieniu wziąłem ją za jéj siostrę i ciężko obraziłem tego anioła; późniéj dowiesz się pan wszystkiego, ale teraz proszę pana, zaklinam, poprowadź mię do Emilji.

— Hm, rzekł pan Wolbrecht, nie rozumiem

wprawdzie powodu twojego wzruszenia, jednakże uczynię zadość twojéj tak usilnéj prośbie. Pójdź za mną.

Udaliśmy się więc znowu ku pałacowi. Ja szedłem z szczęśliwém, silnie bijącém sercem, obok pana Wolbrecht. Ubiegłe wypadki tak mię wzruszyły iż nie wiedziałem istotnie czy spię czy czuwam.

Przeszedłszy kilka pokoi znaleźliśmy w saloniku Emilję, która jak się zdawało płakała stojąc woknie; serce moje boleśnie ścisnęło się na ten widok.

— Na miłość boską, zapytałem mego towarzysza czy to jest Malka czy Milka.

Stary Wolbrecht uśmiechnął się.

— To jest Emilja, rzekł, i zawołał głośno: Emiljo!

Ona zwróciła główkę, jéj łzami zasłonione spojrzenie padło na mnie; ale poznawszy mnie szybko odeszła. Pobiegłem za nią, dogoniłem ją szczęśliwie i wnajwiększém uniesieniu padłem do nóg jéj.

— Emiljo, moja Emiljo! wołałem błagającym głosem, czy zechcesz, czy potrafisz mi przebaczyć.

Moja luba stała przez chwilę zmięszana, żywy szkarłat pokrył anielskie jéj lice, potém chciała znowu uciekać; ale jeśli nie myliłem się zu pełnie, nie gniewała się już na mnie. To dodało mi odwagi, ująłem drogą rękę.

— Nie prędzéj, luba, mówiłem daléj zaklinanając ją, możesz się oddalić, dopóki twoje słodkie usta nie wyrzekną przebaczenia za moje szalone obejście się z tobą przed kilku chwilami. Widziałem twoję siostrę z jéj narzeczonym w altanie... to jest rozwiązaniem zagadki mego dzikiego postępku.

Pan Wolbrecht słysząc moje wykrzykniki, zbliżył się ku nam zdziwiony. Emilja mile zarumieniona nie wiedziała co ma począć, i stała w zachwycającem pomięszaniu, ale moje serce uczyniniło mię wymownym.

— Mój szanowny ojcowski przyjacielu, zawołałem zwracając się do pana Wolbrecht, na moje szczęście przybyłem do waszego domu, dowiedz się pan, że ja jestem tym szczęśliwym którego nie znałeś, i który chełpić się może, że już dawno posiada miłość Emilji.

— Co słyszę, córko moja? zapytał radośnie zadziwiony ojciec, a kiedy wymowne milczenie

Emilji nie pozostawiło mu żadnéj wątpliwości, zawołał z ojcowską otwartą radością. Pójdźcie do mego serca, moje drogie, kochane dzieci!

Tego nie daliśmy sobie dwa razy powtórzyć, rzuciliśmy się w objęcia ojca, i otrzymaliśmy natychmiast jego błogosławieństwo dla związku serc naszych.

Ta scena tak mię wzruszyła, radość ma zawsze coś męczącego, że musiałem wyjść na swieże powietrze, aby dać odetchnąć memu sercu. Ale zaledwie przeszedłem dwa pokoje ujrzałem mego nieprzyjaciela, olbrzymiego kapitana, który spokojnie ku mnie postąpił.

— Dobrze, że pana spotykam, rzekł z żelazną zimną krwią; jestem obrażony i do mnie należy wybór broni. Wybieram pistolety; będziemy dopóty strzelali, dopóki jeden nie polegnie. Pójdź pan, już wystarałem się broni i sekundantów; podobne sprawy nie warto odwlekać.

Niech sobie filozofowie dowodzą jak im się podoba, że śmierć najsłodszą jest natychmiast po doświadczeniu najwyższego szczęścia, że w tedy ukazuje się jak uśmiechająca się dziecina, ja

muszę temu wprost zaprzeczyć. Ja przynajmniéj nie miałem najmniejszéj ochoty, teraz kiedy znalazłem moją anielską Emilję, dać się zastrzelić memu przyszłemu szwagrowi.

— Szanowny przyjacielu, rzekłem, nasza sprzeczka nadspodziewanie tak dziwny wzięła obrót, że pewien jestem iż zupełny pokój nie tylko nie będzie ubliżającym dla naszego honoru, ale nawet obu nam bardzo przyjemny.

— Jakto? zapytał krótko i niechętnie kapitan, czyliż nie widziałem cię u nóg mojéj narzeczonéj?

— Nie mogę tego zaprzeczyć, szanowny kapitanie, rzekłem, ale chciéj mi to przebaczyć, bo ja miałem ją za *moją* narzeczonę.

— Twoją narzeczonę! zawołał bardziéj jeszcze rozgniewany kapitan, tém gorzéj, będziemy się strzelali na chustce.

— Ej, to już lepiéj, zawołałem także rozgniewany nieco jego chciwości i krwi, lepiéj przyłóżmy sobie razem po dwa pistolety do głowy i tak strzelajmy się. Słowem, byłem w błędzie i proszę mi to przebaczyć! Wcale nie mam ochoty dać się zabić, i żden rozsądny człowiek za złe tego mi nie weźmie.

Pan Wolbrecht który słyszał naszą sprzeczkę zbliżył się w téj chwili, i wkrótce po wysłuchaniu stron obu, udało mu się pogodzić dwóch przyszłych zięciów. Wąsal który przed chwilą miał apetyt dać mi zażyć pigułkę ołowianą, uścisnął mię serdecznie, i przyjażń została zawartą.

Tymczasem nadeszła Emilja i zbliżyła się do nas jak anioł pojednawczéj miłości. Postąpiłem naprzeciw niéj, i chciałem ją uścisnąć w moich objęciach, kiedy uczułem się pociągniętym w tył, przez swieżo upieczonego mego przyjaciela.

— Do stu bomb, otwórz oczy, to jest przecie moja Malka.

— Ah, przepraszam, rzekłem cofając się z pomięszaniem i ukłoniłem się prosząc o przebaczenie.

Wszyscy musieli się śmiać; a ja wziąwszy kapitana za rękę i odprowadziwszy go na bok. Do pioruna, rzekłem, co to będzie, żebyś mię wziął na tortury, nie jestem w stanie rozróżnić czy mam przed sobą twoją czy moją na-

rzeczonę. Powiedz że mi jak ty je rozpoznajesz?

— Czy nie uważałeś, odpowiedział, że Malka wchodząc położyła rękę na sercu? to jest nasz znak.

— Dobrze, rzekłem muszę więc i ja wyuczyć czegoś podobnie telegraficznie moją Milkę, bo znowu nie raz jeszcze moglibyśmy się pokłócić.

Wesołe rżenie mego siwosza którego właśnie przeprowadzono do dworskiéj stajni, zwabiło mię do okna. Przed drzwiami domu stała moja Emilja, i zdawała się z upodobaniem patrzéć na mego pięknego wierzchowca. Szybko spojrzałem na Ameliją, i przekonawszy się o jéj istotnéj obecności, rzekłem.

— No, teraz już się pewno nie omylę, i pobiegłem na dziedzieniec. Ale Emilji już nie było przed domem, napróżno patrzyłem na wszystkie strony, nic mi nie pozostało jak obejrzéć nowe mieszkanie mego siwosza. Zwierzę moje mieszkało teraz bardzo wspaniale i zdawało się być dumném z stajni która w po-

równaniu z nędznym chlewkiem w oberży, istotnie mogłaby się nazwać książęcą.

Stanęliśmy w dobrym porcie, mój siwoszu, rzekłem, nie będzie ci tu zbywać na niczém.

Po téj rozmowie zwróciłem się do dworu. Wszedłem znowu do błękitnego salonu. Nieba! zły duch zazdrości przejął mię na nowo. Na sofie siedział mój przyjaciel kapitan, a przy nim Emilja. Potarłem kilka razy oczy; ale tak, to była Emilja! Krew w moich żyłach zaczęła biegać konwulsyjnie, już właśnie chciałem puścić wolny bieg memu gniewowi, kiedy ktoś lekko uderzył mię po ramieniu. Obejrzałem się, któż wystawi moje zachwycenie, przede mną stała Emilja.

— Bogu dzięki, rzekłem, że was razem obie zobaczyłem, ale kochanie moje, powiedz mi prawdę któraż jest Emilja, ty co przedemną stoisz, czy też tamta co siedzi na sofie przy kapitanie.

— Niedobry, rzekła z wyrzutem i uśmiechem, tá co przede mną stała, to już nie poznajesz twojéj Emilji.

— Cóż ja temu winien, odpowiedziałem, kie-

— Tak, rzekłem, ten jednakowy ubiór nic nie szkodził, kiedy byłyście dziewczątkami; ale teraz okoliczności zmieniły się i nawet ś p. dobra mama uznałaby potrzebę odróżnienia; chcecież raczéj abyśmy i ja i kapitan codziennie dręczeni byli przez furję zazdrości, bo pomimo wszelkich porozumień mogłoby się stać co złego; któż jest panem swojej namiętności; nie prawdaż kapitanie?

Kapitan przyznał to jako człowiek rozsądny; ale dziewczęta ciągle jeszcze potrząsały główkami. Żądanie matki było dla dobrych córek świętém.

Nakoniec przybył papa, i dowiedziawszy się o przyczynie naszéj sprzeczki, zgodził się zupełnie z mojém zdaniem. Za jego dopiero połączeniem się ze mną i kapitanem, udało nam się utrzymać tymczasowo różowy i błękitny szalik, ponieważ dwie córki Ewy tylko na czas mojego pobytu zezwoliły nosić te odznaczające kolory.

— Ale, rzekła Amelja, kiedy nareszcie ułożyliśmy się zupełnie względem téj ważnéj okolicz-

ności, — jakże będzie jeślibyśmy przypadkiem zamieniły nasze szaliki.

O tym nadzwyczajnym wypadku istotnie ani pomyślałem, również jak i kapitan, wystawiałem sobie teraz w umyśle bezprzykładne pell-mel któreby zdarzyć się mogło; niemogłem na prędce znaleść żadnéj rady i nic mi niepozostało jak błagające ręce wznieść ku dwóm siostrom.

— Dzieci, rzekłem, nie żartujcie i nie chciéjcie zrobić figla waszym poczciwym narzeczonym. Bo podobna omyłka byłaby gorszą niż pierwsza, którą ja popełniłem, i Bóg wie jakie z niéj wyniknęłyby skutki.

Dziewczęta musiały natychmiast ręką i słowem zapewnić, że nie będą złośliwie żartowały z umówionemi znakami; ojciec ich, był świadkiem tego uroczystego zapewnienia, które mię nieco uspokoiło.

Za chwilę, ukazały się jedna z różowym, druga z niebieskim szalikiem, które im bardzo były do twarzy.

Nie posiadałem się z radości że wynalazłem ten wyborny środek; teraz wiedziałem przynajmniéj, *którą* miałem przed sobą, czy moją kochankę, czy jéj siostrę.

Wieczerza która zaraz po tem nastąpiła, należała do najrozkoszniéjszych wieczerzy w mojém życiu. Siedziałem między Malką i Milką i miałem nową sposobność podziwiania nadzwyczajnego ich między sobą podobieństwa, ale niebieska szarfa była dla mnie gwiazdą biegunową, która mię od zbłądzenia z drogi broniła.

Tak przeżyłem w pośród radości i zachwycenia całe ośm dni; że zaś dziewczęta dotrzymały przyrzeczenia co do niezmienności kolorów, sądzę, że ztąd wnosić mogę, iż niebieska szarfa, przy mojém pożegnaniu gorzko płakała, i odprowadzała mię aż do drogi, kiedy tym czasem różowa, od bramy zaraz zawróciła się z kapitanem do parku.

Kiedy z moim wiernym siwoszem, zwolna postępowałem bitym gościńcem, wyrwany z miejsc w których tak prędko stałem się jakby swoim, bliższym był mi płacz niż śmiech, ale pocieszałem się słodką nądzieją, że wkrótce wrócę do Lindenthal, a za rok poprowadzę do mojéj siedziby ukochaną Emilję jako moją żonę.

Szczęśliwie przybyłem do domu rodziciel-

skiego; mój ojciec nadzwyczajnie był zadowolony z posłuszeństwa pana syna, który bez żadnego wachania, przyjął wybraną przez niego narzeczonę. Kazał natychmiast przynieść z piwnicy butelkę starego Johanisberger, który to roskaz wydał wtedy tylko, gdy był w bardzo dobrym humorze, i wypiliśmy przyjemny napój za zdrowie mojéj Emilji.

Że odtąd często umiałem wyjednać sobie urlop dla przejechania się do Lindenthal, tego nie potrzebuję mówić, a za każdemi memi odwiedzinami, Emilja nosiła błękitny szalik. Miała go i wtedy, kiedym ją jako panią dyrektorowę sądu obwodowégo do Burgstadt przyprowadził, i nosi ją dotąd jeszcze, jako pamiątkę tak szczęśliwych chwil naszego życia, jak to każdy z panów mogł naocznie widzieć. Dla tego też chcę wierzyć że moja Emilja z spoczywająca już w Bogu, odkilku lat Amelją nie pomieniały się na szarfy i że jest tą samą, która w młodym wieku podbiła moje serce, i dotychczas zachować je w swoich pętach umiała.

Tu zamilkł sędzia, ale opowiadanie jego bardzo rozmaite sprawiło na słuchaczach jego wra-

żenie. Napełniano szklanki, a nie jeden z podeszłych sąsiadów zawołał:

— Niech więc żyje niebieski szalik, ale przede wszystkiém niech żyje jego właścicielka. Niech żyje!" zawołało całe towarzystwo i wszystkie szklanki zabrzmiały wzajemnie potrącone.

1

PYTANIE.

(Sonet)

Czemu młodzieńcze szukasz samotności,
Pilnie ludzkiego unikając oka?
Dla czego zamiast słodkiéj wesołości
Twe czoło kryje ponurość głęboka?

Krótkie jest życie, używaj młodości,
Póki nie stępi oczu lat pomroka,
Poki twe serce dla słodkiéj miłości
Nie zatwardzieje jak zimna opoka.

Rozwesel czoło, pociesz się nadzieją,
Jeśli doznałeś ciosów przeznaczenia,
I tobie chwile szczęścia zajaśnieją;

Bo tak na świecie, wciąż zmienną koleją,
Radość i smutek, rozkosze, cierpienia,
Gonią się w ciemną przepaść zapomnienia.

II.

ODPOWIEDŹ

(Sonet)

Gdy serce czuje bolesne cierpienie,
Mam że się cisnąć w biesiadników koło,
Bym w gronie co się bawiło wesoło
Jak syn przekleństwa, rozsiewał znudzenie

Ah, stokroć dla mnie milsze nocy cienie,
Czarne jak moje zasępione czoło,
Niż świat, gdzie szczęście postrzegam w
(około
A w głębi serca boleść i cierpienia.

Miłość, raz tylko świat w niebo zamienia;
Tę szczęsną chwilę dawno już przebyłem,
Cóż mi zostało, nic, oprócz wspomnienia.

Żyłem dość długo,gdy szczęście przeżyłem,
Wszystko zniknęło co mi było miłém,
Lecz z życiem tylko przeminą cierpienia.

SPIS RZECZY

W TOMIE IV ZAWARTYM.